MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 53. WARSZAWA, 16 GRUDNIA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

POLITYKA NIEMIEC

Żyjemy w wirze niezwykłych i oddziaływających na wyobraźnię wydarzeń. Aby się w nich orjentować, ażeby rozumieć sens życia politycznego, trzeba przedewszystkiem umieć odróżnić rzeczy ważne od mniej ważnych, czynniki decydujące od czynników drugorzędnych. Czytając prasę codzienną, nietylko polską, lecz i zagraniczną, mamy wrażenie, że w chaosie wypadków, sporów, poglądów i opinij zatracono zrozumienie tego, że i dziś, jak w całym okresie powojennym, jednym z czynników głównych całej polityki europejskiej są Niemcy. Nietylko świadoma i celowa polityka niemiecka, lecz także to, co się dzieje w łonie narodu niemieckiego.

Naród niemiecki — podobnie zresztą jak wszystkie narody europejskie — przechodzi głębokie przeobrażenie wewnętrzne. Tem głębsze, że jest to — mimo wszystko — naród dość jeszcze pierwotny i że obok Anglji zaawansował się najbardziej w rozwoju, charakterystycznym dla „wieku gospodarczego", jak okres kończący się nazywa znakomity ekonomista Werner Sombart. Naiwna opinja przypisuje to, co się w Niemczech dzieje, Hitlerowi i jego zwolennikom, widzi w nich jakąś złośliwą grupę, która prowadzi Niemcy na bezdroża. Nienawiść żydów do ruchu nacjonalistycznego w Niemczech przyczynia się znakomicie do tego, że o kraju tym panują w świecie najbardziej błędne pojęcia. Zdaniem naszem, przechodzą Niemcy tragiczny przełom wewnętrzny, który wpłynie decydująco na ich przyszłą politykę i na ich pozycję w Europie i w świecie. Ruch hitlerowski jest próbą przezwyciężenia tego przełomu, próbą, wynikającą z najgłębszych pokładów duszy niemieckiej i całej przeszłości narodu niemieckiego — jest ruchem głębokim i poważnym, a nie jakiemś przejściowem oszołomieniem nerwów, czy wyobraźni.

Kto tak rozumie sytuację wewnętrzną narodu niemieckiego, kto wie, że naród ten przeżywa nietylko kryzys moralny i umysłowy, lecz także społeczny i gospodarczy, ten musi dojść do wniosku, że przez długi jeszcze czas muszą Niemcy całą swoją uwagę i wszystkie swoje wysiłki skupić na zagadnieniach wewnętrznych. To sprawia, że nie są one zdolne do jakiejś awantury nazewnątrz i to dyktuje im ich metody w polityce zagranicznej.

Niemcy się zbroją pośpiesznie i postawiły sobie za cel główny uzyskanie formalnego równouprawnienia w zakresie zbrojeń. Nie znaczy to jednak wcale, że mają w zanadrzu gotowy plan wywołania wojny europejskiej. Siły zbrojne są im dziś potrzebne przedewszystkiem na to, by nabrać ciężaru gatunkowego jako czynnik polityczny, by wesprzeć dyplomację niemiecką w jej działaniu nazewnątrz. Nie wątpię ani na chwilę, że gdyby inne, a zwłaszcza sąsiadujące z niemi państwa, zaczęły się rozbrajać, gdyby Niemcy doszły do wniosku, że są w Europie wojskowo najsilniejsze, to nie cofną się przed dobyciem miecza z pochwy. Lecz jeśli tylko będzie równowaga sił między niemi a sąsiadami, będą się Niemcy starały jaknajdłuższy mieć czas, by się do walnej rozprawy i wojskowo i politycznie przygotować.

Zaabsorbowane przeobrażeniem wewnętrznem, nie gotowe jeszcze pod względem wojskowym,

pragną Niemcy — jak nam się wydaje — utrzymania pokoju przez czas dłuższy. Stąd ich ugodowa polityka w stosunku do Polski, stąd ich usiłowanie dojścia do porozumienia z Francją. Dla nas niemasz nic tajemniczego w polityce Hitlera. Nie rozumieją jej natomiast ci, co się wychowali na złudzeniach wieku XIX. Dzielą oni narody na dwie grupy — na pragnące wiecznego i bezwzględnego pokoju i na kochające wojnę. Do tej drugiej grupy zaliczają Niemców i wyobrażają sobie, że chcą oni za wszelką cenę, przy najpierwszej okazji wywołać wojnę... Hitler zaś wie, że wojny były i będą, że są one ostatnim argumentem we współzawodnictwie między narodami, że Niemcy zatem do wojny muszą być gotowe, wie on jednak także o tem, że wojna jest rzeczą trudną i ciężką, że ma sens tylko wówczas, jeśli prowadzi do zwycięstwa, jeśli przeto jest wywołana w dogodnym momencie politycznym i przy posiadaniu sił dostatecznych. Przygotowuje się do wojny, lecz dziś pragnie zachowania pokoju; wyłożony powyżej sens dając wyrazom, może szczerze mówi o sobie, że jest usposobiony pokojowo. Można powiedzieć krótko — chce pokoju do chwili, w której Niemcy będą gotowe dc wojny, a stosunki polityczne w Europie będą dla nich pomyślne.

Rozumowanie powyższe doprowadza nas do wniosku, że państwa i narody, zagrożone przez odbudowę sił politycznych i wojskowych Niemiec, mają jasną drogę przed sobą: wyciągnąć wszelkie korzyści, jakie im dać może przymusowa pokojowość Niemiec hitlerowskich, lecz nie dać uśpić swej czujności demonstracjami tej pokojowości. Bo natężenie i trwałość pacyfizmu niemieckiego zależą całkowicie od moralnej i materjalnej gotowości do wojny innych państw, w pierwszej linji Francji i Polski.

Nie przerażałoby to nas tedy ani trochę, gdyby Francja poszł na normalizację stosunków z Niemcami, gdyby Niemcy powróciły do Ligi Narodów i t. d. Pod dwoma wszakże warunkami: że Francja będzie miała jasną i konsekwentną politykę i że podporą tej polityki będzie armja silna i gotowa do wypełnienia swego zadania. Gdyby natomiast zbliżenie francusko-niemieckie było oparte na złudzeniach pacyfistycznych, gdyby się stało punktem wyjścia do zaniedbania sił zbrojnych i do ospałości ducha w społeczeństwie, to zbliżenie to musiałoby doprowadzić do katastrofy, już nietylko dla Francji, ale i dla całej Europy.

STANISŁAW KOZICKI

ODCISK DŁONI

(Dokończenie)

III

NA ZAKOŃCZENIE wywodów zajrzyjmy jeszcze do sali sądu berneńskiego. Cały w tym procesie mechanizm świadków i rzeczoznawców, puszczony w ruch przez stronę żydowską, kłamstwami swojemi i pustem opowiadaniem o rzeczach zbytecznych wytwarza chaos i tuman dokoła rozprawy tak wirujący i gęsty, żeby znalezienie w nich i wydobycie samego sedna rzeczy stało się dla przeciętnej siły ludzkiej niemożliwością. Znany to jest i zawsze stosowany sposób żydowski.

Więc naprzykład: Milukow utrzymuje, że rząd bolszewicki w Rosji posiada „znikomy procent żydów", podczas gdy w pierwszych latach bolszewizmu liczba żydów w jego rządzie wahała się od 92% do 60%, a obecnie dla utrzymania pozorów mało-co spadła. Kłamstwo Milukowa zdemaskowały różne pisma szwajcarskie. Na zmianę w kalejdoskopie „świadków" staje Burcew i opowiada, że „słyszał zdanie" tych i owych Rosjan o tem, że „Protokuły" są sfałszowane. Na takich kłamstwach i „słyszeniach" polegają wszystkie zeznania świadków strony żydowskiej.

Niepodobna zapuszczać się w te dżungle oszustwa żydowskiego. Uczyni to, jeśli zechce, na miejscu — pozwana strona aryjska. Najlepiej jednak uczyniłaby, broniąc stanowiska, że w sprawie tej żadnych świadków, ani rzeczoznawców sąd uznać nie może, bo ustalenie faktów jest tu niemożliwością, a rzeczoznawcy są tylko adwokatami stron, ale wyposażonymi w autorytety, do których adwokaci żadnego prawa nie mają. Warto nam tu natomiast zapoznać się z osiemnastoma pytaniami, które rzeczoznawcom zadała strona żydowska, w pytaniach tych bowiem mieści się zapewne cała, w procesie uruchomiona, zbrojownia szantażu żydowskiego.

Pytania podzielono na dwie równe części: dziewięć o powstaniu „Protokułów" i dziewięć o ich treści. W części pierwszej pytania: pierwsze, trzecie i czwarte dotyczą związku „Protokułów" z syjonizmem i z syjonistycznym kongresem w Bazylei z r. 1897. Jak na to już w szkicu niniejszym wskazywałem, „Protokuły" zajmują się programem imperjalizmu żydowskiego, a nie syjonizmu, i są nie na Palestynę obmyślone, ale na diasporę żydowską. Dlatego też nie mogły być omawiane ani na żadnym kongresie syjonistycznym, ani obok takiego kongresu. Program syjonizmu jest czemś w rodzaju polityki ministerstwa spraw wewnętrznych, a program „Protokułów", czyli imperjalizmu żydowskiego, jest czemś w rodzaju polityki ministerstwa spraw zagranicznych. Jest rzeczą jasną, że w żadnym kraju nie omawia się i nie prowadzi się spraw jednego ministerstwa przez czynniki drugiego i naodwrót. Sprawy obu ministerstw uzupełniają się nawzajem w instancji wyższej i w rysach zasadniczych, ale to już broszury tu omawianej nie dotyczy.

Wszystkie trzy pytania (1, 3 i 4) części pierwszej oparli żydzi na mylnych i czczych urojeniach wydawców broszury. Ale opinje wydawców, a „Protokuły" same—to dwa światy odrębne, tu zaś chodzi tylko o „Protokuły".

Pytania: piąte, szóste i siódme części pierwszej oraz drugie części drugiej dotyczą rozbieżności wydań poszczególnych i komentarzy wydaw-

ców, zatem również do „Protokułów" samych się nie odnoszą. Żydzi umyślnie błędami i sprawami wydawców zasłaniają i oplątują jedynie możliwą treść rozprawy sądowej t. j. samo istnienie „Protokułów".

Pytanie dziewiąte części pierwszej zapytuje, czy istnieją dowody na to, że „Protokuły" sfałszowano w Rosji „pod suggestją kół reakcyjnych". Udowodniłem, że o sfałszowaniu tej broszury mowy być nie może.

W pytaniach—ósmem części pierwszej i szóstem części drugiej naprzód oświadczono (domyślnie), że znaczna część „Protokułów" zgodna jest z książką nie-żyda Maurice Joly'ego z r. 1864 p. t. *„Dialogues aux Enfers entre Macchiavel et Montesquieu"*, a następnie zapytano, czem zgodność ta daje się wytłumaczyć. Tak samo pytanie piąte części drugiej kładzie nacisk na pewną zgodność „Protokułów" z utworem „tak zwanego lorda Johna Retcliffe'a" p. t. „Biarritz", gdzie „naczelny rabin wygłasza przemówienie na cmentarzu żydowskim w Pradze". Trzy te pytania mają na celu zdobycie odpowiedzi, że „Protokuły" nie są dziełem żyda, a więc są sfałszowane.

Nie znam obu tych książek, ale wobec nagminnego oszustwa żydów mam prawo wątpić, czy istotnie obie one tak dalece zgodne są z „Protokułami". Przyjąwszy jednak na wiarę oba o tej zgodności oświadczenia żydowskie, stwierdzić muszę, że właśnie ta zgodność dobitnie o prawdziwości i żydowskości „Protokułów" mówi. Dowód na to jest prosty: skoro, jak to ze szkicu niniejszego wynika, właściwym twórcą „Protokułów" jest naród żydowski, czyli od wieków pracujący w tym kierunku przewódcy tego narodu, to wszystkie wieści i strzępy owej tajemnej nauki rabinicznej, jakie od czasu do czasu przedostają się stamtąd do świata aryjskiego, muszą mieć ten sam charakter tej samej mennicy idej i metod, z której wyszły też „Protokuły".

I ów Joly i ów Retcliffe natknęli się widocznie na jakieś odkrycia, źródła lub dokumenty z życia żydowskiego i każdy z nich na swój sposób je wyzyskał. Wiadomo zaś, że w rozmaitych świętych księgach żydowskich, a także ich komentarzach wersety, wyrażenia, porównania i styl wogóle powtarzają się stale, tak samo, jak ideje, a od tych ksiąg i formę i treść nietylko rabini, ale i ogół żydowskich myślicielów przejmuje, stąd zaś co pewien czas przesiąkają one do społeczeństw aryjskich. Tem się tłumaczy znana powszechnie zgodność sądów o żydach, którą znajdujemy w dziełach i oświadczeniach największych ludzi wszystkich narodów i wieków. Gdyby przed sądem zgromadzono o narodzie żydowskim opinje Tacytów, Lutrów, Franklinów, Szekspirów, Schopenhauerów, Napoleonów i stu innych duchów dostojnych, otrzymalibyśmy właściwy areopag rzeczoznawców, a orzeczenie jego byłoby istną tu dla żydostwa katastrofą moralną.

Pytanie pierwsze części drugiej jest puste, a może ma ono jaki cel ukryty, lub do biegu procesu jest zastosowane. W streszczeniu pytanie to brzmi tak: czy obecność egzemplarza „Protokułów" w bibljotece Muzeum Brytyjskiego w Londynie można uważać za dowód ich prawdziwości...? Trzeba na to odpowiedzieć, że nie odpowiada się na głupie pytania.

Pytanie drugie części pierwszej zredagowane jest obłudnie i przewiduje, a zarazem wywołuje u żydowskich rzeczoznawców, odpowiedź, która ma świat oszukać. Przeczytajmy to pytanie w całości:

„Czy w literaturze o „Protokułach" można znaleźć punkty oparcia dla twierdzenia, że Ginzberg, który posiłkował się literackim pseudonimem „Achad-Haam", uchodzić może za autora rzeczy spisanych w „Protokułach"? Czy Achad Haam istotnie zajmował kierownicze stanowisko w kołach syjonistycznych, czy też był on raczej poważnym autorem dzieł żydowskich bez znaczenia politycznego?"

Niema potrzeby szukać odpowiedzi w literaturze o „Protokułach", bowiem żydowski dziennik w Warszawie „Der Moment" w numerze 18 z dnia 20 stycznia 1928 roku w poważnym artykule o zmarłym Achad-Haamie napisał, co następuje:

Achad-Haam „osobiście uczestniczył w politycznej pracy przygotowawczej, która była potrzebna dla osiągnięcia deklaracji Balfoura".

Słowa te jasno świadczą o kłamstwie, podsuniętem w pytaniu żydowskiej gminy w Bernie. Kto uczestniczy w tak doniosłej dla syjonizmu pracy politycznej, jak przygotowanie słynnej deklaracji Balfoura, ten musi być jedną z głównych postaci politycznych żydostwa. Nadmieniam, że cytatę „Momentu" biorą ze znakomitej książki Z. Krasnowskiego „Światowa Polityka Żydowska", stronica 89. Na bezpośrednio poprzednich stronnicach tej książki znajdują się nadto ciekawe słowa samego Achad-Haama, z których ubocznie można wywnioskować, że on właśnie jest autorem „Protokułów", o co go też wielu znawców przedmiotu oddawna podejrzewa.

Taka jest odpowiedź prawdy na pytanie kłamstwa. Lecz i poza wszelkiemi dowodami można przecie na sądzie wprost zapytać: czy to nie wszystko jedno, jak się nazywał żyd, który stworzył program w „Protokułach" zawarty?

Pytanie ósme części drugiej dotyczy owych tuneli kolei podziemnych, na co już w toku szkicu niniejszego odpowiedziałem.

Pytanie trzecie części drugiej usiłuje wmówić, że masonerja nie jest sprzysiężona z żydostwem, ponieważ niektóre loże niemieckie są antysemickie. Otóż 1° wiadomo powszechnie, że loże te (mianowicie pruskie) pod tym względem stanowią w masonerji wyjątek, a wyjątek potwierdza regułę. I 2° rzeczoznawca żydowski na punkcie masonerji pozostaje w roli strony zainteresowanej, a nawet — zagrożonej, więc odpowiedź jego nie ma wartości. Sąd natomiast powinien w tej sprawie zapoznać się ze wszystkiemi dokumentami, których dostarcza literatura samej masonerji oraz jawne jej na arenie publicznej wystąpienia. Między innemi nieskromny promyk światła pada tu ze słynnej „afery Stawiskiego" we Francji.

Pytanie czwarte części drugiej jest tak charakterystyczne, że przytoczę je w całości:

„Na jakiej podstawie w „Protokułach" jest mowa o wspólnym żydowskim rządzie światowym, mającym jednolite cele i jednolitą wolę, skoro istnieją poważne antagonizmy między żydami kapitalistycznymi a proletarjackimi, między religijnymi a liberalnymi, między syjonistami a antysyjonistami, zaś w samem łonie syjonizmu — między syjonistami religijnymi (Mizrachi) a rewizjonistami?"

...Zapytuje naiwny Joselek. To ciekawe. Zapytajmy i my skolei na jakiej podstawie w każdem państwie istnieje rząd jednolity, skoro w każdem państwie istnieje tyle zwalczających się wzajem stronnictw, idej i przekonań? Jak to nadzwyczajnie schodzą się krańcowości: naiwność tego pyta-

nia żydowskiego jest równie bezczelna, jak jego bezczelność — naiwna.

Można jednak i rzeczowej odpowiedzi na to pytanie udzielić: w znakomitem dziele Z. Krasnowskiego „Światowa polityka żydowska" zgromadzone są autentyczne świadectwa i oświadczenia najwybitniejszych współczesnych polityków i działaczów żydowskich, a także niewątpliwie prawdziwe zdarzenia bieżącej polityki żydowskiej. Otóż z dokumentów tych jasno wynika, że w sprawach żydowskiej polityki zagranicznej, czyli w sprawach stosunku żydostwa do państw i narodów rdzennych, wszystkie stronnictwa i kierunki polityczno-społeczne żydostwa na całym świecie są bezwzględnie z sobą nawzajem zgodne. Rabini ortodoksi, liberałowie, kapitaliści, wielcy finansiści, komuniści, socjaliści, proletarjusze i cały ogół żydów we wszystkich krajach rozproszenia świadomie i zgodnie prowadzi politykę zagraniczną o jednolitej woli i celu jednolitym.

Kłamstwo powyższe jest równie bezczelne, jak to, że rozproszenie żydów stanowi dla nich przeszkodę do opanowania świata. Przecie prosty rozum dyktuje, że do obecnej potęgi swojej żydzi nie mogliby dojść b e z r o z p r o s z e n i a!

I wreszcie pytanie siódme części drugiej, które także muszę przytoczyć w całości:

„W „Protokułach" jest mowa o skandalu panamskim oraz o prezydencie, który przez ten skandal został skompromitowany. Chodzi o prezydenta francuskiego Emila Loubet. Ten jednak objął urzędowanie dopiero 19 lutego 1899 roku. Jakże więc da się wyjaśnić sprzeczność, skoro „Protokuły" miały powstać już w roku 1897"?

Po pierwsze tkwi kłamstwo w tem pytaniu, bo w „Protokułach" niema wcale mowy o prezydencie przez Panamę skrompromitowanym. Odnośne miejsce „Protokułów" tak brzmi:

„Aby plan nasz doprowadził do wyników powyższych' będziemy organizowali wybory takich prezydentów, w których przeszłości istnieje jakaś niewyjaśniona ciemna sprawa, jakaś „panama". Wtedy będą oni wiernymi wykonawcami planów naszych, a to w obawie rewelacyj"... i t. d.

Jest to zatem zwrot ogólnikowy o wszelkich wogóle prezydentach w przyszłości przewidywanych. Słowo zaś „panama" było w owem dziesięcioleciu modne i stosowano je, jako imię pospolite, zamiast „afera". Po drugie zaś: jeżeli jednak w słowie „panama", użytem w „Protokułach", tkwi jaka alluzja do Loubet'a, w takim razie dowodzi to prawdziwości mojego twierdzenia, że „Protokuły" powstały około roku 1900.

Widzimy w tem pytaniu raz jeszcze, jak żydzi korzystają z błędu wydawców i pisarzów aryjskich, którzy bez żadnych podstaw, dowolnie i mylnie wiążą „Protokuły" z pierwszym kongresem syjonizmu z roku 1897, lub z którymkolwiek następnym.

Ostatnie pytanie części drugiej reasumuje wszystkie i poddaje odpowiedź, jakoby dowiedzione zostało, „że „Protokuły" są nieautentyczne i sfałszowane w tym sensie, że nie są one wyrazem ani kulturalnych, ani społecznych, ani gospodarczych celów żydostwa".

My jednak wiemy o tem coś wręcz przeciwnego, ceś, czego także dowodzą ubocznie same krętactwa i kłamstwa owych osiemnastu pytań żydowskich. Nie broni się sprawy uczciwej tumanami oszustwa!

Żydzi dążą w procesie berneńskim do wyroku na podstawie paragrafu 14 prawa berneńskiego o sprawach literatury niemoralnej. Strona aryjska może na to tak odpowiedzieć — punkt po punkcie tego paragrafu:

Rozpowszechnianie „Protokułów" pośród narodów rdzennych kuli ziemskiej: 1°, nie pobudza do występków, ale, przeciwnie, zapobiega programowym występkom żydostwa... 2°, nie naraża moralności na niebezpieczeństwo, ale, przeciwnie, ochrania ją przed gwałtami i podstępami żydostwa... 3°, nie obraża wstydliwości, ale, przeciwnie, umacnia ją przeciw bezwstydowi żydostwa... 4°, nie ogłupia ludzi, ale, przeciwnie, oświeca ich i ostrzega przed ogłupiającym wpływem żydostwa... i, wreszcie, 5°, nie wywołuje skandalu, ale, przeciwnie, stara się niedopuścić do największego pod słońcem skandalu, jakim byłoby opanowanie globu naszego przez żydostwo.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

CZŁOWIEK TWÓRCĄ KRAJOBRAZU

(Dokończenie)

III

WYJDŹMY teraz ze dworu w pole. Mijamy krzyż lub murowaną „figurę". Bez godła Męki Chrystusowej dwór nie byłby do pomyślenia. Wejścia do niego strzegł krzyż, a na pobliskiem wzgórzu, umiejętnie wybranem, wznosiła się kapliczka z figurą Zbawiciela, rzucona na tło kilku drzew.

Topolowemi przysadami wychodzimy na drogę, łączącą się w oddali z gościńcem. Każda droga ma także swoje oblicze i swoją treść. Czy to będzie wąska ścieżyna, wydeptana wśród murawy z białemi kwiateczkami, albo wiodąca naprzełaj sianokosem lub zbożowym łanem, czy też będzie to zwykła, nierzadko drzewami sadzona droga, którą deszcz psuje, a wiatr naprawia, czy wreszcie szeroki na dziesięć sążni trakt, łączący z sobą dalsze i większe ośrodki, gościniec ogromny, rozległy, jak cyrkowa arena, z czterema rzędami starych brzóz, rozplatających na wietrze swoje kędziory — jakże powabną i malowniczą linję mają te wszystkie drogi! Jakże przedziwne meandry zdobnicze wprowadzają one do krajobrazu! Jak go ożywiają i uzupełniają swą przyrodzoną falistością, swym charakterem, doskonale harmonizującym z otoczeniem! A jeśli te drogi wiją się tak kręto i nadobnie, to dlatego, że ich twórcy kierowali się fantazją naturalnego instynktu i przypadkowości, a nie suchem wyrachowaniem linji geometrycznie najkrótszej. Szosa europejska rozbija krajobraz na odrębne, obce sobie części, wprowadzając doń element spekulacyjnego pedantyzmu, bardzo zapewne wygodny i użyteczny, ale jakże ubogi estetycznie! Nasza zaś droga zachyla się i znów odgina wdzięcznemi łukami, odsłania w zagięciach coraz nowe perspektywy, spada ze wzgórza w kotlinę kręconą wstęgą, wspina się znów pracowicie

na zbocza i pagórki i ciągnie za sobą brzozowe korowody w wędrownym trudzie. Tamtą wynalazła gorączkowa chciwość dalekiego miasta. Ta urodziła się na miejscu, wraz z życiem wiejskiem i jest jego wiernem odbiciem.

Jeśli zejdziemy z drogi i pójdziemy przed siebie, gdzie oczy poniosą — a u nas niema na to policyjnych i prywatnych zakazów i człowiek na wsi nigdzie nie czuje się intruzem — to gdziekolwiek pójdziemy i cokolwiek ujrzymy, wszystko to jest kształtowane zawsze na swój obraz i podobieństwo przez dwór i przez jego dziedzicznego właściciela. Spójrzmy na te pola i łąki, pastwiska i nieużytki, na te miedze i „ścianki", ugorujące i niewyzyskane wskutek nieopatrznej może i lekkomyślnej, ale jakże malowniczej i szerokiej w geście pańskiej rozrzutności! Na te kępy wierzbiny i wikliny po mokrych łąkach, jakby ustawione w świadomym zamyśle dekoracyjnym. Na te samotne grusze, parasolami rozpostarte ponad niepotrzebnie szeroką miedzę, gdzie wśród zwalonych kamienisk czerwienieją końskie szczawie w brunatnej gazie mietlicy, a złocista dziewanna piętrzy się słupkami gęsto okwieconych łodyg, gdzie zajadle cykają świerszcze i odurzająco pachną piołuny i cząmbry! Spójrzmy na te rozsypane wśród pól, nie wiedzieć kiedy i przez kogo posadzone drzewa, przeszkadzające prawidłowej uprawie roli, a tak mile wabiące oko przechodnia, jakby same były przechodniami, co się gapią przy odświętnem rozleniwieniu na niefrasobliwą gospodarkę polną! Spójrzmy na te brzozowe gaiki z wysoką, soczystą trawą, z ponętą cienistości i niespodziankami jagód i grzybów, gdzie się tak rozkosznie ociera czoło o skwarnej godzinie południowej i wyciąga na miękkiej darninie! Na te wdowie sosny-samotnice, co szumią przeciągle na piaszczystym odłogu, osypanym żółtemi nieśmiertelnikami i na przysadziste, krzepko rozparte dęby przydrożne, zabierające całą drogę w przychylny uścisk swoich cienistych ramion!

Spójrzmy wreszcie na nasze lasy, na te olbrzymie morza szumnej zieleni, bogate w takie skarby roślinne i zwierzęce, a potrzebione, poniszczone przez wszystkich świętych ze złodziejskiego kalendarza, na te puszcze i knieje, poręby i halizny, młodniaki i zagajniki, wszystkie samorosnące, jak Bóg da, a słońce i deszcz pozwoli, ale jakież urocze w swem różnolitem ukształtowaniu, w swej bezludnej rozległości! Jakie niepodobne do tych wartościowych i dochodowych kultur leśnych, które się widuje gdzieindziej w Polsce, ustawione szeregami, jak żołnierze na mustrze, wyczyszczone jak magazyny leśnego towaru! O ileż znowu rozszerzyłyby się ramy tej pogawędki, gdyby chcieć mówić o lasach i o ich znaczeniu dla estetycznej wartości naszego krajobrazu!

Więc tylko przypomnijmy znowu: jeśli te wszystkie zarośla, gaje i bory zdobiły nasz krajobraz i podnosiły jego charakter pierwotny i dziewiczy, tchnący takim czarem, to tylko zawdzięczając pańskiej rozrzutności ich właścicieli, którzy mieli jeszcze dość chleba i bez niszczenia naturalnego piękna ziemi, a nie posiadali tej praktycznej ambicji, by ze swoich posiadłości uczynić wyzyskane co do cna grzędy i pokratkowane inspekty. Jednem słowem, dokądkolwiek się zwrócimy dookoła, wszędzie człowiek i ziemia mają jednakie oblicze i współżyją w zupełnej harmonji, kształtując się wzajemnie, jak rzeźba i jej odlew plastyczny.

Niesłusznie powiedziałem: mają i żyją. Dziś trzeba już mówić: mieli i żyli. Minęły tamte czasy beztroskiego współżycia — ziemia dzisiaj w inne przechodzi ręce i jednocześnie zatraca wiele ze swej dawnej malowniczości. A czego nie zniszczyła łupieżcza ręka zaborców, czego nie przeorał krwawy pług wojny, to nasze własne eksperymenty państwowe przenoszą jeszcze skuteczniej z rzeczywistości w dziedzinę poetycznej legendy. Bo i w samej rzeczy, jakże mizernie wyglądać muszą w świetle współczesnych haseł, zwanych „demokratycznemi", te spóźnione zachwyty jednego z mohikanów nad niedołężnym egoizmem gromadki obszarników, przeciwstawiających się rzekomo całej postępowej, nowożytnej Polsce!

Sprawa ta nie jest jednakże tak prosta, jak się wydaje dzisiejszym włodarzom naszej ojczyzny: rozstrzygnie ją przyszłość i osądzi beznamiętnie historja. Dzisiaj, obcując na tych kartach z krajobrazem, utworzonym przez dwór szlachecki, powtórzyć należy z całym naciskiem, że on jeden zbudował tu, zachował i rozszerzył Polskę. Jeśli ziemia ta przygarnęła się do polskości i stała się naszą ojczyzną — uczynił to szlachcic, obywatel ziemski, mocą swojego istnienia, pracy i wytrwania. Gdyby nie on, granice Polski skurczyłyby się o setki kilometrów, zgodnie z polityczną kartografją lorda Curzona. I o tem nie należy zapominać przy wszystkich zarzutach, jakie się tak pochopnie czyni naszemu ziemiaństwu. Nie zmienią one zresztą w niczem faktu niezbitego, że ziemiaństwo ukształtowało kraj nasz fizycznie i moralnie. A tym, którzy dziś wzięli odpowiedzialność za byt i przyszłość Polski, życzyć należy, ażeby potrafili przynajmniej tyleż zdziałać dla polskości naszej ziemi przy wszechmocnym aparacie ugruntowanej państwowości, ile uczynił w ciągu wieku minionego niezorganizowany i rozproszony po jej obszarach „pan z białego dworu", który dzisiaj odchodzi w krainę pięknej baśni.

Gdy odejdzie całkowicie — może wtedy zostanie zrozumiany słusznie i oceniony należycie. Ludzie są niesprawiedliwi tylko dla żyjących — umarłym piszą chlubne życiorysy i stawiają szczytne pomniki. Taki pomnik posiada Szwecja w parku narodowym, zwanym „Skansen", gdzie z wielkim pietyzmem zostały odtworzone w najdrobniejszych szczegółach i przechowane dla nauki pokoleń zabytki etnograficzne i przyrodnicze, stare domostwa z całem urządzeniem i otoczeniem roślinnem, całe obejścia, osiedla i zadrzewienia. Za tym przykładem i nasz wileński magistrat nosi się obecnie z zamiarem ufundowania parku narodowego na górach Altarji, które przejął i będzie urządzał dla pożytku miasta i kraju. Można przypuszczać, że zanim pierwszy polski „Skansen" stanie na górach wileńskich, upłynie w sąsiednich dwu rzekach niemało wody, a typ dworu szlacheckiego przejdzie całkiem do historji i stanie się już nieistniejącym okazem zabytkowym. Odtworzy go wtedy na podstawie ksiąg, obrazów i dokumentów zabiegliwa ręka uzdolnionych uczonych i artystów dla zaspokojenia ciekawości współczesnych. Z nielicznych ocalałych materjałów powstanie z mozołem i kosztem ułamkowa minjatura tego wszystkiego, co dziś usuwa się w cień zapomnienia, a tak niedawno napełniało jeszcze cały kraj treścią żywą, mocną i barwną. A wówczas badacz bezstron-

ny, a wnikliwy przyjrzy się temu obrazowi przeszłości, oceni jego wysoką wartość narodową i jego dostojne, szacowne oblicze. Przeniesie się wstecz intuicją retrospektywnego widzenia, zdumieje się i pożałuje, że przeminęło proste, a malownicze piękno dawnego krajobrazu litewskiego i jemu podobna duchowość twórcy tego krajobrazu — pana z białego dworu...

Ale wówczas — nie będzie już ani krajobrazu, ani jego twórcy... bo umrzeć musi w życiu to, co ma ożyć w pieśni.

JAN BUŁHAK

29 LISTOPADA 1832 R.

DATA 29 LISTOPADA odruchowo niemal przywodzi na pamięć słynną „noc listopadową" 1830 roku, gdy grupa młodzieży ze szkoły podchorążych napadem na Belweder rozpoczęła krwawą tragedję w naszej historji — Rewolucję Listopadową.

Długo jeszcze pewnie wielu takich, którzy nie pamiętają, lub nie chcą pamiętać o czasach Chrobrych, Jagiełłów, Batorych, Sobieskich, z lubością będzie rozpamiętywać czasy powstań z okresu niewoli, czasy stosunkowo najmniej chluby przynoszące kierownikiem naszej ówczesnej polityki, a nieraz świadczące o braku zmysłu politycznego, lub nawet o złej woli szeregu ludzi. Nie będziemy jednak pisać tutaj ani o powstaniu, ani o niewątpliwem bohaterstwie rzesz walczących i ginących za Ojczyznę żołnierzy, ale przeniesiemy się myślą do okresu popowstaniowego, na emigrację do Paryża, gdzie się zebrała większość czynnych uczestników rewolucji, i na tem tle naszkicujemy krótko rolę niektórych osób, działających w powstaniu.

Dnia 29 listopada 1832 roku, o godzinie 11-tej zrana odprawiona została uroczysta msza święta przy grobie króla Jana Kazimierza w kościele St. Germain de Prés, a wieczorem, przy tymże kościele, w dawnem mieszkaniu Jana Kazimierza odbyła się uroczystość rocznicy powstania.

Posłuchajmy, co o tej rocznicy pisze naoczny świadek, Ignacy Domejko. Był to szary człowiek z tłumu, nie należący do żadnego właściwie stronnictwa politycznego, mógł przeto spojrzeć na sprawę od jej zewnętrznej strony, tak jak się ona przedstawiała człowiekowi, którego sąd nie jest spaczony żadnym antorytetem, czy zakazem.

„Sala"— pisze on w swych pamiętnikach [1])— „była w polskie i trzykolorowe francuskie chorągwie przybrana. Dwa wielkie sztandary, przysłane od obywateli Stanów Zjednoczonych dla naszego wojska, rozpięte były nad krzesłem", przeznaczonem dla prezesa Komitetu, a dokoła wisiały portrety Kościuszki, Dąbrowskiego, Sobieskiego, jakoteż malowane orły nasze i pogonie.

Prezydował komitetowi zięć Lafayette'a, pan Lestayrie [2]), a obok niego zasiedli: wojewoda Ostrowski, pułkownik Zaliwski i Dwernicki generał. Czekano na Lelewela i zostało miejsce jego próżne.

„O szóstej godzinie uciszyło się zgromadzenie i poczęto od polskich przemówień, które choć ostre były i obraźliwe dla wodzów i naczelników rewolucji naszej, poszły na wiatr jako niezrozumiałe dla cudzoziemców.

Kosooki przechrzta Czyński, z niewypowiedzianą pogardą i dumą ujmował sławie i dobremu imieniowi wszystkich naszych patrjotów, co kierowali ostatnią wojną naszą i rządem. Nikomu nie przebaczył, a za każdy złośliwy przycinek odbierał oklaski. Głupi, szyderczy uśmiech przechodził od ławy do ławy, bawiono się własnem nieszczęściem. Wogóle osoby, do których były wymierzone owe szkalowania, nie były obecne".

Przemawiał jeszcze niejaki Laniewski, a później Grzymała, który „nie zrobił efektu"... „Niewiele też wrażenia na słuchaczach zrobiły mowy Zaliwskiego i wojewody Ostrowskiego, pierwsza demokratyczna, druga ni to, ni owo". „O godzinie ósmej przerwano mowy polskie i wśród okrzyków wszedł Lafayette. Zajął krzesło prezesa. Poważny, sławne wielkie imię, bo wielką była jego cnota. Jego oczami patrzyło na nas więcej, niż 60 lat wojen o wolność, krwawych rewolucyj, w których on odegrał poważną rolę i zasłużył na imię obywatela dwóch światów. Jego widok powinien był nas pogodzić, powiązać, zjednoczyć, gdybyśmy, nauczeni naszemi nieszczęściami, pamiętni na to, co kraj nasz ucierpiał i cierpi, sposobni już byli do zgody, jedności i wzajemnego szacunku.

Miał Lafayette na sobie mundur gwardji narodowej warszawskiej, jako kiedyś mianowany pierwszym grenadjerem tej gwardji. Zabrał głos, a jego wymowa słodka, prosta, ujmująca, okraszona była dawną dworskością i elegancją francuską. Nazwał wojewodę Ostrowskiego naczelnikiem swoim (jako byłego naczelnika gwardji warszawskiej) i kolegą, a Polaków bracią najbliższą jego sercu".

Były jednak na emigracji czynniki, którym bynajmniej nie zależało na tak pożądanej według Domejki „zgodzie, jedności i wzajemnym szacunku", bo oto: „Im szczersze, umiarkowańsze i bardziej urocze były słowa Lafayette'a, tem srożej ubodły nas nierozważne, dzikie i rażące od żółci, jaką przesiąkłe były mowy francuskie naszych deklamatorów, co zaraz po nim głos zabrali. Odznaczył się między nimi niejaki Krempowiecki, wierutny żydek z twarzy i czarniawych, przymilających się oczu, choć patrzący z podełba i zjadliwy jak żmija.

„Miałem ja od dzieciństwa, nie taję się, chętkę do demagogicznych uniesień, nie lubiłem niemieckich baronów i dyplomacji, wzdychałem do równości w obliczu prawa i do polepszenia bytu chłopów, a jednak gdy wobec tysiąca cudzoziemców słyszałem Polaka (*sic!* przyp. aut.), w czarnych kolorach malującego kraj nasz dla miłości niby chłopów, których mieszczanin Krempowiecki ledwo kiedy widział, a nigdy nie żył z nimi, i kiedym usłyszał, jak ten dziwny, zuchwały przechrzta malował Polskę naszą, ciemiężącą lud i jak oskarżał rewolucje nasze o despotyzm, okrucieństwa i egoizm, wszystko to niby dla zdemokratyzowania Polski, — kiedym obaczył, jak na te wszystkie niedorzeczności i zuchwałe szkalowania po-

[1]) Pamiętniki Ignacego Domejki 1831 — 1838. Wydał Józef Trietiak 1908. (str. 133 — 135).

[2]) Hrabia Lestayrie du Saillant, agronom i filantrop francuski (1759 — 1849).

klaskiwali nasi jakby na piekielnej uczcie, krew ścinała się we mnie, zimny pot wystąpił na lica, kryłem oczy, a wielu naszych uciekło.

„Przez wiele nocy potem nie spałem i byłem z tych, co nazajutrz podpisali adres do Lafeyetta, protestując przeciw zasadom i opinji Krempowieckiego".

Tyle naoczny świadek, szczery i prosty patrjota o niewykoślawionych pojęciach.

Epizod opisany nie zasługiwałby na to, żeby się przy nim dłużej zatrzymywać, gdyby nie to, że głównymi bohaterami tego bolesnego epizodu byli dwaj żydzi (przechrzci, frankiści) Czyński i Krempowiecki, których rola w samem powstaniu, a zwłaszcza później na emigracji była niewątpliwie bardzo znaczną.

W dobie powstania widzimy obu naszych bohaterów wciąż na pierwszym planie, ale oczywiście nie na polu walki. „Gdy gen. Bem przeznaczył Krempowieckiego jako oficera na front, frankista nasz wymówił się brakiem zdrowia i agitował w mundurze po Warszawie. Aresztowały go władze wojskowe, ale zwolniły zaraz" [3]). Za to już 20.I-1831 r. Krempowiecki zostaje sekretarzem Towarzystwa Patrjotycznego, Towarzystwa, którego celem była rewolucja socjalna. Wchodzi do tego Towarzystwa Jan Czyński, człowiek utalentowany, obok Krempowieckiego jeden z najradykalniejszych członków Klubu, „umysł rzutki, zapalczywy, natura złożona z tylu pierwiastków dobrych, co złych" [4]). O tymże Czyńskim czytamy u Limanowskiego [5]): „Towarzystwo Patrjotyczne przedstawiało organizację demokratyczną, ale organizacja ta była nader luźna i brakło jej żywiołu umysłowego.— Oprócz Lelewela, który więcej nazwiskiem swojem, aniżeli czynnością mógł służyć Towarzystwu, największą siłę jego umysłową przedstawiał Jan Czyński. Był to ruchliwy umysł, ale dosyć płytki, a przytem nie odznaczał się charakterem i nie umiał zdobyć należytej powagi". Trzeba przyznać, że nikłe były kwalifikacje Czyńskiego na „największą siłę umysłową" i niezbyt pochlebnie świadczą o grupie, która go wysuwała, zwłaszcza, że grupa ta rościła sobie pretensje do kierowania rewolucją społeczną w Polsce na przestrzeni wielu jeszcze potem lat.

Rzekomo na skutek cofania się wojsk polskich, w Warszawie „w ludzie zawrzało wreszcie gniewem". „Wybuch gniewu ludowego był do przewidzenia" — pisze Limanowski — „i nie był niespodzianką dla żadnego stronnictwa, a najmniej (oczywiście — przyp. aut.) dla demokratycznego" [6]). Krempowiecki i Czyński głównie przygotowywali krwawą noc 15 sierpnia w Warszawie, oni byli jednymi z najczynniejszych przy wysadzaniu Krukowieckiego, który za to musi zapłacić Krempowieckiemu, czyniąc go swoim adjutantem.

Trzeba tu śmiało i wyraźnie powiedzieć, że zbrodnią było w obliczu nadchodzącego wroga pozwalać sobie na walkę bratobójczą w zagrożonej stolicy, zbrodnią było demoralizować i rewolucjonizować lud w najmniej odpowiednim do tego momencie, zbrodnią było nie skupić wszystkich sił w kierunku orężnej obrony kraju. Odważyć się na to mógł tylko ten, komu nie o dobro narodowej sprawy chodziło. I tak na te wypadki i ich autorów spoglądać trzeba, a nie pocieszać się, jak Nabielak, że „lud, który w obliczu nieprzyjaciela mści się tak okropnie na najmilszych służalcach jego sprawy, pokazał, iż nie ze skruchą, nie na kolanach myśli go przyjąć" [7]).

Zdawali sobie spółcześni sprawę z wartości ówczesnych demokratów, a sam „dyktator" Krukowiecki drogo widać za ich przyjaźń musiał płacić, skoro skarżył się na kluby, „z których najgorszy Czyńskiego"; a w liście do żony pisał (5.9.1931 r.): „Na cóż nam się zda Polska, jeżeli ma egzystować pod wpływem takich ludzi, jak Puławski, Szynglarski, Czyński i t.p.". Nie będę tutaj się zatrzymywał nad działalnością t. zw. Towarzystwa Patrjotycznego, warto tylko zaznaczyć, że ci ludzie, którzy w niem rej wodzili, Czyński i Krempowiecki utrzymywali kontakt z kołami żydowskiemi i regulowali stosunek żydów do powstania. Mimo to, sam Hirszhorn w swej „Historji żydów w Polsce" [8]) stwierdza, że żydzi, którzy początkowo byli porwani entuzjazmem dla powstania, gdy chodziło o jego wywołanie — później zachowali się biernie, a mamy na to świadectwa, że częstokroć zupełnie wrogo. Była to więc jawna i oczywista prowokacja.

Znacznie bardziej ożywioną działalność rozwijają nasi bohaterowie na emigracji.

„Czyński występuje w r. 1832 w Niemczech w Kaestenburg pod Hambach na konferencji z wolnościowemi spiskami niemieckiemi imieniem polskiego Komitetu Narodowego, podczas gdy równocześnie frankista, Tadeusz Krempowiecki reprezentuje Polskie Towarzystwo Demokratyczne" [9]). Na emigracji, oprócz objęcia naczelnych stanowisk w Polskiem Towarzystwie Demokratycznem, należą obaj do dygnitarzy paryskiej loży skrajnej *Trinité Indivisible* (Trójcy Nierozdzielnej). Nadto Krempowiecki „stał na czele polskiego Namiotu Narodowego, zwierzchniej władzy polskiego węglarstwa i wchodził w skład Wysokiego Namiotu powszechnego, najwyższej władzy całej organizacji węglarskiej, pozostającej pod kierownictwem Filipa Buonarotti, który w czasie rewolucji był współpracownikiem komunisty Baboeufa" [10]).

Takie stanowiska dawały im szerokie możliwości rozwijania akcji rewolucyjnej.

Rewolucję socjalną w Polsce stawia sobie za cel kierowane przez nich Polskie Towarzystwo Demokratyczne. Rozwija się szeroką akcję, idącą w kierunku zrewolucjonizowania mas, zwłaszcza chłopskich, oraz rozbicia całego społeczeństwa polskiego na wrogie sobie klasy. Emisarjusze, wysyłani do kraju, najczęściej na śmierć, przywożą z sobą tak zwane demokratyczne hasła. „Nazwy demokracji, arystokracji i przywiązane do nich wyobrażenia, które później, aż po dziś dzień tyle hałasu zrobiły" — pisze Wiesiołowski [11]) — „były nam młodym wtedy nietylko obojętne, ale nieznane prawie. Przybywający z Paryża wychodźcy (emisarjusze Towarzystwa Demokratycznego — przyp. aut.) przynieśli i te hasła. Rozpoczęła się walka przekonaniowa, która stawała się często ostrą".

---

[3]) Rolicki: „Zmierzch Izraela", str. 304, 305.

[4]) Śliwiński Artur: „Maurycy Mochnacki", str. 233.

[5]) Limanowski Bolesław: „Historja demokracji polskiej w epoce porozbiorowej" na str. 184.

[6]) *Op. cit.* str. 185.

[7]) „Trzy dni dowództwa naczelnego jen. Dembińskiego" Pam. Emigracji, str. 15.

[8]) S. Hirszhorn: „Historja żydów w Polsce od Sejmu Czteroletniego do Wojny Europejskiej."—W-wa 1921, stron 375.

[9]) Rolicki *l. c.* str. 327.

[10]) Rolicki *l. c.* str. 305.

[11]) „Ustęp z moich wspomnień" str. 98.

Wprowadzono więc ferment w społeczeństwo polskie, ferment, który na wszelkich już później poczynaniach niepodległościowych wyciśnie swe piętno.

Poza Polskiem Towarzystwem Demokratycznem jawnemi terenami były takie organizacje, jak Stowarzyszenie Ludu Polskiego, Młoda Polska lub Towarzystwo Polskie Przyjaciół Postępu, gdzie Czyński był prezesem, a Krempowiecki szefem sekcji nauk politycznych.

Cały szereg pism rozszerzał ideje demokratyczno-socjalistyczne. Zwłaszcza Czyński był tu bardzo czynny. Przez jakiś czas redagował w Paryżu „Postęp" — pismo skłaniające się ku przekonaniom socjalistycznym. Od 1835 wydaje „Północ", „Polak" zaś, pismo już nawskroś socjalistyczne, ukazał się po raz pierwszy 3 maja 1837 roku. Nadto Krempowiecki pisuje w *„l'Européen"*, piśmie socjalistycznem, wydawanem przez Filipa Józefa Benjamina Buchez.

Na rewolucyjną działalność kół demokratycznych zwrócił wcześnie uwagę rząd francuski. Utworzono specjalny komitet dla nadzorowania polskiego wychodźtwa, a kilku podejrzanych o bliskie stosunki z rewolucjonistami francuskimi, w tej liczbie Czyński i Krempowiecki, musiało na jakiś czas Francję opuścić.

Wieczny duch buntu wygryzł nakoniec i Krempowieckiego z samego nawet Towarzystwa Demokratycznego. „Po całym szeregu gorszących sporów i kłótni, w pierwszych dniach kwietnia 1838 roku, 60 członków odłączyło się i razem z Krempowieckim utworzyło nowe Towarzystwo Wyznawców Obowiązku Społecznego" [12]).

Tacy ludzie jak Czyński i Krempowiecki odegrali niemałą rolę w naszych dziejach porozbiorowych, spełniając skutecznie swą rozkładową rolę w społeczeństwie polskiem, do którego, wyszedłszy z ghetta, się wcisnęli. Tylko ścisła analiza działalności takich jednostek może doprowadzić do zrozumienia ich roli i znaczenia. Niełatwo jest taką analizę dokładnie przeprowadzić, gdyż w literaturze tych czasów działalność ich jest przeważnie skrzętnie zacierana lub przeinaczana. Nie przeszkadza to jednak, że w zestawieniu kilku powyższych danych otrzymaliśmy fragment destrukcyjnej roboty żydowskiej w Polsce.

KONRAD POMIANOWSKI

---

[12]) Limanowski *l. c.* str. 282.

Z „HYMNÓW STRZELISTYCH"

(FRAGMENT POEMATU II-GO)

Wkrótce ukaże się w osobnem wydaniu wspaniały ze względu na głębię uczuć religijnych i formę artystyczną hymn Michała Pawlikowskiego p. t. „Wierzę w Boga jedynego". Po tym hymnie nastąpią dalsze, stanowiące cykl „Hymnów strzelistych". Z dalszych części tego cyklu poeta pozwolił nam ogłosić poniższy urywek poematu o N. M. P.

A POTEM przyszli niektórzy z miasta i pytali o tę Niewiastę, która jest Matką Boga. Czy grzmotem włada wśród burzy? Czy się w Jej dłoniach świat truchlejący pali?

A myśmy nie rzekli nic... W ciszy nieporuszone trwały promienie świec... Zaszemrał sypki różaniec, — słoneczny promień szedł po ścianie... Zdrowaś Marjo...

Hej ludzie! Wszak była ze wschodu i z Dawidowego rodu. Czy była sławnego rozumu, jak ta hetera świetna: jak Estera?

A myśmy nie rzekli nic... bo mogli wołać, co chcieli — myśmy już ich języka i tak w duchu nie słyszeli... Łaskiś pełna...

Mówcie! Czy była chwałą ludu okryta, jak Judyta i jak ona nieustraszona i krwi niesyta?

Pan z Tobą...

Hej ludzie! powiedzcie przecie, co wiecie. Jakże mogło inaczej być? Czyż nie była między niewiastami, jak miesiąc między gwiazdami, wspaniała, jak Semiramis?

Błogosławionaś Ty między niewiastami...

Jakichże mórz sięgać musiała niezmierna Jej potęga, większa, niż Kleopatry z Egiptu!

A myśmy nie rzekli nic... bo mogli wołać, co chcieli, — mybyśmy się i tak już byli nie zrozumieli... Pani nasza jechała z Dzieciątkiem na osiołku, w wielkiej trwodze, a przy nodze z tobołkiem szedł cieśla Józef... w drodze do tego Egiptu...

Pani nasza była ze wschodu, ale jest miasto w Italji, które anieli światłami zasypali. Tam się Jej dusza pokorna, kwiatami wonna rodziła — i tam Ją nazwali: *Umile Donna.*

Pani nasza była ze wschodu, ale Królową była słowiańskiego narodu, a Jej chwała na niebie i moc niczego dla siebie nie brała i nie bierze. Na cóż Jej ziemskie splendory, Jej, która całe życie była biedna? — Ale zwyciężała u Kircholmu i Wiednia! — ale szumiała w duszach rycerzy i była z nami u Cecory! Jak matka sprzęgała lute swoje dzieci miłością i dumą rodziny przez zawieruchy stuleci!

Ależ to było potem, a wtedy jeszcze wszystko było inaczej!

A cóż u Boga czas znaczy? — To dla nas przyszłość jest w nocy, byśmy ją mogli budować po naszej wolnej woli. Czy nie wiecie, że święci i prorocy mówili głosem pamięci? pamięci tego, co będzie? —

Nie, Matka nasza nie była Esterą, ani Judytą, i Kleopatrą nie była, i nie była Semiramidą... Wszystkie czasy u Boga i wstecz i naprzód idą, tworząc to, co jest wieczne. W Niej, wiemy, że w Niej, już wtedy było zamknięte całe słowiaństwo słoneczne i wszystkie nasze tęsknoty i wszystkie nasze biedy, i cała nasza w Nią wiara — i niceśmy Jej więcej nie przynieśli, kiedyśmy w Niej naszą Matkę odnaleźli.

MICHAŁ PAWLIKOWSKI

NA WIDOWNI

Nowa konstytucja dla nowej Polski. — Zagadywanie próżni. — Polska jako pojęcia statystyczne. — O pejzażu dziejowym i kulturze politycznej. — Czy „sanacja" ma zmysł państwowy?

PAMIĘTNE „tezy" p. Cara, jak wiadomo, znalazły w Sejmie w dn. 26 stycznia r. b. tylu zwolenników i tak zapalonych, że w ciągu minuty, przemianowane na „ustawę", zostały proklamowane w charakterze nowej Konstytucji. Ma się od niej zacząć nowa era dziejów Polski, nic dziwnego przeto, że teraz — gdy projekt ma być rozpatrywany w komisji Senatu, budzi on zainteresowanie. Piastunem tego niedonoszonego noworodka jest obecnie senator Wojciech Rostworowski. Uczynny ten mąż stanu zajął się dziecięciem, jak swojem, i zgrubsza obmywszy, wprowadza je na dalszą drogę ustawodawczą.

Dotychczasowa historja tego druczku ośmiostronicowego robiła przykre wrażenie dysonansem, jaki zachodził między wagą zagadnienia a figlarnością sposobów, użytych do realizacji. Jaka będzie jego dalsza karjera, zobaczymy. Ja tutaj nie zamierzam wdawać się w ocenę samego projektu ustrojowego. Ustrój sam można (czasem trzeba) zmieniać, chodzi tylko o to, żeby tej operacji towarzyszyła jasna świadomość polityczna osobowości historycznej, w tym wypadku — Polski. Takich rzeczy pod chloroformem robić nie należy. Wymaga tego choćby nasza stopa życiowa (*standard of life* — powiedzmy, żeby zrozumiała to elita). Polska bowiem nie jest jakąś plazmą, jak te ongiś plemiona, dostające się pod władzę drużyn wojennych, lecz jest już społeczeństwem zorganizowanem, które z całą przytomnością dąży do udoskonalenia swojej formacji państwowej.

Wszystko może być zmienione, krom jednej rzeczy, mianowicie j a ź n i tego podmiotu. Tutaj ciągłość musi być zachowana, jakiež bowiem pokolenie mogłoby poczuć się w prawie pomyślenia o sobie, że od niego zaczyna się historja?

Jakże wygląda w projektowanej konstytucji ów moment Ja dziejowego? Oto artykuł pierwszy zasad ogólnych:

1) Państwo Polskie jest wspólnem dobrem wszystkich obywateli.
2) Wskrzeszone walką i ofiarą najlepszych swoich synów ma być przekazywane w spadku dziejowym z pokolenia w pokolenie.
3) Każde pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym wzmóc siłę i powagę Państwa.
4) Za spełnienie tego obowiązku odpowiada przed potomnością swoim honorem i swojem imieniem.

Artykuł ten odpowiada dwu pierwszym artykułom w konstytucji naszej z r. 1921; brzmiały one inaczej:

1) Państwo Polskie jest Rzeczpospolitą.
2) Władza zwierzchnia w Rzeczypospolitej Polskiej n a l e ż y d o N a r o d u i t. d.

W konstytucji poprzedniej, z 3 maja 1791 r. art. V opiewa niemal to samo:

„Wszelka władza społeczności ludzkiej początek swój bierze z w o l i N a r o d u".

Teraz mamy uchwalić zmianę bardzo doniosłą, nie tylko w ustawie ustrojowej, lecz we własnej psychice i w swojem prawie moralnem do Polski, mianowicie, że suwerenem państwa jest nie naród polski, ten, co historycznej Polski był twórcą i właścicielem, lecz ludność, na ziemiach polskich zamieszkująca, spółka anonimowa 30 miljonów, choćby one praw historycznych polskich nie dziedziczyły i do polskości się nie poczuwały. Jednem słowem Polska zmienia właściciela i należeć będzie do lokatorów. Zamiast osobowości moralnej, mającej swoją jaźń historyczną, wstawiamy pojęcie statystyczno-paszportowe.

Zadziwiający jest ten prymityw pojęciowy, wyrażający się w idei państwa bez narodu, prymityw, zapoznający i rzeczywistość i naukę o państwie. Doktryna państwa beznarodowego powstała w głowie pokolenia, które samo, biorąc na siebie mandat narodowy, walczyło o to, by państwo powstało, pokolenia wychowanego w kulcie Mickiewicza, który swoje poczucie osobowości narodu polskiego doprowadził w czasach mesjanizmu do personifikacji w osobie Chrystusa, pokolenia, które za ewangelję uważało „Księgi Narodu polskiego".

Oto co się zrobiło z kulturą polską w ciągu stulecia pod wpływem doktryn międzynarodówki socjalistycznej.

— — — — — — — — — — — — —

Pod względem naukowym koncepcja statystyczna ludności, jako źródła twórczości państwowej, nie wytrzymuje próby elementarza. Państwo jest dziełem nie stada, lecz zorganizowanego narodowo społeczeństwa, które doszło do samowiedzy, zestrzelonej w osobową jaźń (my = naród) i zdolnej zobjektewizować tę samowiedzę w akcie woli, ustanawiającej samowładztwo nad sobą samem i zwierzchnictwo, strzegące niepodległości zewnętrznej, jednem słowem tworzyć państwo. Naród polski tę ewolucję społeczną już dawno przebył; w drodze faktu państwowość swoją emanował, a już od stulecia z całą precyzją świadomości stosunek swój do państwa pojęciowo ustalił. Nie tylko dlatego, że uczyliśmy się prawa państwowego we wszechnicach na książkach Bluntschlego i innych, ale, jak powiedziałem, że przebyliśmy z Mickiewiczem drogę najtrudniejszego poznania przez s a m o p o z n a n i e swej osobowości narodowej.

To też gdy Polak oświecony dziś weźmie do ręki akt, mający zadanie sformułować świadomość Polski, czem ona jest, w jakiej formie nadal ma być, aby osiągnąć wyższy szczebel swego rozwoju, gdy Polak widzi, że ludzie, ten akt redagujący, po latach namysłu, nie spostrzegli rzeczy najważniejszej, mianowicie formacji narodowej społeczeństwa i cofają się wstecz, aby zaczynać budowę państwa od jednostki statystycznej, — nie dziw, że Polak ów ze zdziwieniem i przykrością wczytuje się w założenie nowego projektu: „Państwo polskie jest wspólnem dobrem wszystkich jego obywateli": ze zdziwieniem, że taki truizm, z przykrością, że takie obejście myśli.

Bo któż może zaprzeczyć faktowi, że państwo jest dla „wszystkich" obywateli? Kwestją może być tylko, czy wszyscy uważają je za swe dobro, albo czy w wyraz „dobro" nie kładą pojęcia „żer". Nie pytam już o to, dlaczego nie powiedziano, wzorem ustaw poprzednich, że Państwo Polskie jest Rzeczpospolitą, ale stwierdzić muszę, że wypełnianie tego artykułu aforyzmami o obywatelu wydaje się niczem innem, jak zagadywaniem pustki, która powstała wskutek nieobecności myśli. Bo jakąż treść prawną prezentować mają lokucje w punkcie drugim o spadkobraniu pokoleń i zasłudze „najlepszych synów" (synów Państwa!)? Albo że „każde

pokolenie obowiązane jest wysiłkiem własnym (nie cudzym) wzmóc siły" i t. d. Jest to frazes, bez świadomości słowa lecący w próżnię. Nie dodaje to stylowi mocy, jeśli aż trzy razy powtórzy się jedno pojęcie: „wysiłkiem wzmóc siłę"!

Należy też zapytać, co ma na myśli punkt 4-ty. Jest w tym frazesie może pozór jakiejś poetyczności historjozoficznej, ale ani socjologicznej, ani prawniczej treści trudno się w nim dopatrzeć. Dajmy na to, istnieje jakiś rocznik, czy jednocześnie żyjąca grupa roczników różnego wieku, która solidarnie może być pociągnięta do odpowiedzialności dziejowej. Jednakże, czy ona będzie się poczuwała do tej odpowiedzialności, wiążącej ją w tym artykule, gdy zaraz potem, w artykule drugim rzecz przedstawiona jest zupełnie inaczej. Powiedziano tam:

„Na czele Państwa stoi Prezydent Rzpltej. Na nim spoczywa odpowiedzialność wobec Boga i historji za losy Państwa. Jego obowiązkiem naczelnym jest troska o dobro Państwa, gotowość obronną i stanowisko wśród narodów świata".

„Pokolenie", nie znajdując w ustawie żadnego sharmonizowania tych dwu odpowiedzialności: swojej i Prezydenta, powie: dlaczegoż ja mam odpowiadać „przed potomnością swoim honorem i swojem imieniem"?

Rozumiem, że społeczeństwo polskie, jako osobowość, ma swój honor i swoje imię, ale jak ja mogę odpowiadać solidarnie za niezorganizowanych ze mną moralnie wszystkich obywateli? Czy imię i honor np. żydów jest dostatecznem zabezpieczeniem interesów państwa? Oto pytanie.

Wiele nastręcza się pytań. Ale główne takie: czy ustawodawca może zwolnić od odpowiedzialności dziejowej Naród polski, który — czy kto chce, czy nie chce — z przekazu historycznego i z natury rzeczy jest gospodarzem kraju?

Dzisiaj mamy sezon polityczny, w którym się mówi tylko o równości obywateli wobec państwa, jako że mają jednakie prawa. Ale przecież państwo nie jest fikcją prawną, lecz jest organizacją pewnego konkretnego życia. Cóż, że się pominie wstydliwie pojęcie naród polski? Wyminąć je można w Polsce tylko przez dzielnicę żydowską. Naród bądź co bądź żyje, jako osobowość moralna, na nim faktycznie wspiera byt państwo. A państwo jest organizacją nietylko praw, lecz przedewszystkiem obowiązków. Otóż obowiązki w szerokiem znaczeniu, takie, jak strzeżenie całości, potęgi, honoru państwa, jak tworzenie cywilizacji polskiej, jak zaspokajanie potrzeb duchowych społeczeństwa i t.d. wyczerpują energję polską, podczas gdy cała energja żydów skierowana jest na przywłaszczanie bogactw. Polityka, nie różniczkująca siły żywej państwa, przypomina bajkę o tych dwu, co jeść mieli z jednego talerza. Trzymaj łyżką—powiada spryciarz— swoją połowę, a ja wpierw zjem swoją. Otóż doktryna, likwidująca prawa narodu polskiego, jako gospodarza, wprowadza siłą rzeczy gospodarza żyda. Żydzi w krótkim czasie nas zjedzą ekonomicznie, no i co za tem idzie — politycznie. Bo czy starczy wysiłku polskich pokoleń, aby „wzmóc siłę i powagę Państwa" w tych warunkach?

— — — — — — — — — — — — — —

Podziwiam w ideologji sanacyjnej brak poczucia dziejów, pomimo że poza państwem i polityką nie chce nic widzieć i pomimo że — jak widzieliśmy — tyle mówi o pokoleniach. Tłumaczę sobie ten defekt tresurą szkoły socjalistycznej, która wszystko przekreśla poza sobą i od siebie świat zaczyna. Ponieważ twórczość państwowa największą siłę czerpie nie z doktryny bynajmniej, lecz z instynktu państwowego, który jest wytworem dziejów, a ten instynkt szkoła socjalistyczna (ahistoryczna i anarodowa) w ludziach zamordowała, zbywa więc na wyobraźni dziejowej, tak niezbędnej mężom stanu. Nazwałbym nawet ten defekt, jeśli chodzi o takie enuncjacje, jak omawiany projekt, — brakiem smaku historycznego. Ludzie ci nie czują wulgarności swoich wyobrażeń o życiu dziejowem.

Czytelnicy „Myśli Narodowej" mają przed sobą rozprawę p. Jana Bułhaka z Wilna o tem, że człowiek jest twórcą krajobrazu. Jest w tem spojrzeniu na ziemię wiele uroku przez to, że jego mądrość poetycka uczy rozpoznawać człowieka w dziełach instynktu. A ileż donioślejszy jest udział człowieka w tworzeniu dziejów! Naród ma swój pejzaż nietylko geograficzny, ale przedewszystkiem historyczny. Barbarzyńcą jest, kto nie wyczuwa narodu w dziejach. Akt woli narodowej taki, jak konstytucja, wyzuty z żywiołu narodowego, wygląda tak, jakbyśmy ów dwór litewski Bułhaka uparli się wyzwolić z przyrody, z którą przez wieki współpracował, i pokazali go nago, drzewa wyciąwszy. Z pięknej, wzruszającej oko polskie rzeźby, którą stulecia na powierzchni ziemi wytworzyły, wyłoniłby się niekształtny kadłub domu, pokoleniami budowanego. Dwór — koszary. Rudera.

Państwo nasze nie jest nowe, jak się to ludziom nowym wydaje. Jest to stary dwór, którego bezcenna wartość leży w tem, że jest historyczny. Zdawali sobie z tego sprawę dziadowie nasi, kiedy uchwalając konstytucję, zagaili ją, jak gajem, motywami religijnemi, narodowemi i historycznemi. „W imię Boga w Trójcy Świętej jedynego", — taki napis na frontonie dworu dziadowie nasi kładli.

Był w konstytucji, którą uchwalili, nietylko akt prawniczy, ale i czyn, klarujący świadomość i sumienie narodowe twórców. „Ceniąc drożej nad życie, nad szczęśliwość osobistą — egzystencję polityczną, niepodległość zewnętrzną i wolność wewnętrzną narodu, którego los w ręce nasze jest powierzony, chcąc oraz na błogosławieństwo, na wdzięczność współczesnych i przyszłych pokoleń zasłużyć"...— te wzruszone słowa świadczą, że twórcy nietylko przyszłe pokolenia powoływali do odpowiedzialności, lecz i sami do niej się poczuwali.

Mamy też w pamięci, jak głęboko w świadomość narodu sięgał motyw moralny konstytucji, uchwalonej przez Sejm Konstytucyjny w dn. 17 marca 1921 r.: „W imię Boga wszechmogącego. My, Naród Polski, dziękując Opatrzności za wyzwolenie" i t. d. — nie potrzebuję przypominać.

Nie było poezji owego dworu w pejzażu dziejowym przy uchwalaniu tez p. Cara w dn. 26 stycznia r.b., darmobyśmy też szukali ducha tego dworu w artykułach projektu. Cóż, że zawisły nazajutrz flagi i orkiestry głosiły chwałę „sanacji", dumnej z tego, że może nie dbać o zaufanie. Faktem niezbitym i płodnym w konsekwencje pozostaje to, że — pomimo odmiennych pozorów — twórcom projektu brak zmysłu państwowego. Gdyby go mieli, szukaliby przedewszystkiem kontaktu z instynktem państwowym społeczeństwa.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

WYDARZENIA, terminologja i przejawy metod rządzenia, z któremi się spotykamy niemal na każdym kroku, dają nam często okazję do twierdzenia, jakoby dokonywał się, czy też już nawet dokonał fakt zmilitaryzowania naszego życia politycznego. Wiele jest w tem skonstatowaniu prawdy, ale czy, przyjrzawszy się temu wszystkiemu bliżej, nie dojdziemy do wniosku, że mamy tu może raczej do czynienia ze zjawiskiem zupełnie innem — odcywilnieniem armji, którą opuszczają elementy psychicznie jaknajbardziej obce duchowi wojska, związane z niem jedynie czasowo, w okresie powszechnej gotowości zbrojnej narodu, czy też przy rozmaitych okazjach, których niemało dostarczało pierwsze dziesięciolecie ostatnich lat dwudziestu? Gdyby bowiem w Polsce nastąpiło istotne zmilitaryzowanie życia publicznego, miałoby ono przecież postawą rycerską, przesiąknięte byłoby zasadami hierarchji, posłuszeństwa, przepojone ofiarnością, wysiłkiem, słowem miałoby wyraz wybitnie narodowy (na dowód przytoczę najzupełniej słuszną zasadę niedopuszczania żydów do korpusu oficerskiego, a nawet patrzenie przezeń niechętnym wzrokiem na pewien procent kontygentu rekruta, pochodzenia żydowskiego, dającego w rezultacie daleko więcej kłopotu, niż pożytku).

Tymczasem jest zupełnie inaczej. Zdemobilizowana gromada typowych cywilów, którym wojsko imponuje, ale którego często nie rozumieją, wniosła do polityki jedynie pewne maniery, pobrzękiwanie szablą, no i ową terminologję, wprowadzającą nas głównie i przedewszystkiem w błąd.

Bo i co np. znaczy takie wezwanie: „Wszyscy na front pracy!", gdzie jest linja tego frontu? Albo początek oświadczenia: „Na froncie gospodarczym...", albo rozkaz: „Wyrównać na front akademicki!" Co wyrównać? Ogień? CKM'ów?...

Przed kilkoma dniami odbyło się zebranie Państwowej Rady Oświecenia. I już odrazu: „Na froncie kultury". Powstaje zrozumiały popłoch. (Przewodniczył p. Janusz Jędrzejewicz). Z kim, u licha ta walka? Poczynamy sobie przypominać... Zniesienie jednej z najszacowniejszych naszych zdobyczy cywilizacyjnych, kilkusetletniej autonomji uniwersyteckiej, skasowanie katedr dziejów kultury.. polskiej, utworzenie Akademji Literatury w jej dzisiejszym składzie, wypożyczanie żydowskim „Wiadomościom Literackim" lokalu i t. d., i t. d. — rzeczywiście przejawy tej walki uprawniają do wniosków daleko idących...

A może tytuł komunikatu, donoszącego o obradach Państwowej Rady Oświecenia, sygnalizuje wewnętrzne starcia obozu rządowego? Mogło np. pójść o aktualną naówczas sprawę bicia w szkołach dzieci po łapach. „Bicie, to przecież coś wysoce niehumanitarnego" — podpowiada z zewnątrz p. Stpiczyński. Ktoś w imię racji stanu oponuje i już mamy utarczkę...

Jeśli nam jednak zechcą odpowiedzieć, że przecież na tym froncie kultury uczyniono coś pozytywnego, wówczas wysnujemy wniosek, i już chyba ostateczny, że mamy do czynienia najwyżej i jedynie z tandetnie urządzonemi manewrami, tyle tu bowiem niepotrzebnego gwaru, bezplanowości, strzelania bez prochu...

TAJEMNICZY KAMIEŃ WĘGIELNY. W prasie żydowskiej, która zawsze zajmowała dwuznaczne, a nawet wprost zdradzieckie wobec sprawy polskiej stanowisko, Polak przywykł spotykać prokuratorskie zarzuty o brak patrjotyzmu, a jeśli rzecz tyczy przeszłości, o ugodowość z zaborcami. I teraz takie „Wiadomości Literackie" z lubością przyjmują artykuły i listy, judzące Polaków na siebie z powodu rzekomo popełnionych zbrodni narodowych w związku z budową pomnika Mickiewicza w Warszawie. Obecnie niejaki p. Kawyn, idąc usłużnie w sukurs ultra-patrjotom, pisze w „Wiadomościach Literackich":

„Może niewielu tylko w Polsce — wśród nich p. Zygmunt Wasilewski napewno — wie, jaką tajemnicę kryje t. zw. kamień węgielny pomnika Mickiewicza w Warszawie. Że jest to tajemnica równie bolesna, jak haniebna, tego dowodem niech będzie przytoczony dokument fundacyjny, do dziś dnia znajdujący się w podwalinach pomnika ugody polsko-carskiej"...

P. Wasilewski „napewno wie", bo ten akt fundacyjny sam ogłosił w książce swojej p. t. „Pomnik Mickiewicza w Warszawie", wydanej w Warszawie w r. 1899, podając przytem fotograficzne jego odbicie. Nie robiono tego aktu w tajemnicy, wiedziały o nim władze rosyjskie, i dlatego Henryk Sienkiewicz, redagując tekst, nie mógł odstąpić od form, tradycyjnie przyjętych w tego rodzaju aktach. Musiały więc tam być wymienione na świadectwo czasu osobistości, stojące wówczas na czele państwa i zarządu krajem.

„Wiadomości Literackie", gdyby miały trochę smaku historycznego i literackiego, mogłyby nam oszczędzić tego paskudnego widoku, że byle kto wywyższa się ponad Sienkiewicza swoim patrjotyzmem i miota w jego stronę takie wyrazy, jak hańba.

Z DZIEJÓW WARSZAWY

W RAMACH Warszawskiego Towarzystwa Miłośników Historji powstała niedawno i rozwija żywą działalność Sekcja Historji Warszawy i Mazowsza. Prowadzona sprężyście przez prof. płk. Wacława Tokarza, sekcja może poważnie posunąć naprzód badania nad przeszłością stolicy i najbliższego jej regjonu. Trzeba dodać, że bodaj najsłabiej zostały dotąd opracowane dzieje Warszawy i Mazowsza. O ile w Krakowie mamy już szczegółowo opisane dzieje nietylko miasta, ale pojedyńczych kościołów i kamienic, to w Warszawie nie wiemy na dobrą sprawę dotąd, kiedy i jak powstała stolica naszego państwa? To też rozwój takiej placówki, jak Sekcja Historji Warszawy i Mazowsza Tow. Mił. Historji, jest ze wszech miar pożądany.

Z odczytów przedwakacyjnych notujemy dwa wieczory, wypełnione przez prof. Tokarza, który mówił o Warszawie w czasie przewrotu kościuszkowskiego. Odczyty te wyszły osobno w obszerniejszem opracowaniu, w postaci pokaźnego tomu p. t. „Insurekcja warszawska — 17 i 18 kwietnia 1794 r." (Lwów, „Ossolineum").

Po wakacjach wygłosił ciekawą prelekcję, ilustrowaną przezroczami prof. Wład. Tatarkiewicz o „Łazienkach Stanisława Augusta". W dłuższym, arcyciekawym wykładzie odtworzył prelegent przedstanisławowskie dzieje Łazienek i krócej — bardziej znany okres stanisławowski. Początki Ła-

zienek są, jak to wykazał prof. Tatarkiewicz, związane z historją zamku ujazdowskiego, po którym niewiele co zostało. Zamek ujazdowski zbudowano w XVI wieku z drzewa. W początkach XVII w. stanął już zamek murowany. W końcu w. XVII, przeszedłszy do rąk marsz. w. kor. Stan. Herakljusza Lubomirskiego, został odnowiony i przerobiony wewnątrz w stylu baroku Jana III.

Wtedy to właśnie powstały również dwa pawilony parkowe (Łazienka i Ermitaż), z których jeden — wytwornie zdobiona łaźnia, związany jest z dziejami dzisiejszego pałacu Łazienkowskiego.

W r. 1764 Stanisław August nabył od Lubomirskich zamek i ogród z pawilonami. Zamek miał być szybko przerobiony i rozszerzony. Przebudowa trwała jednak długo, kosztowała dużo (5 miljonów zł.) i wkońcu nie udała się. Król zniechęcony oddał w r. 1784 zamek miastu na koszary. Jeden z pawilonów natomiast zaczął król Stanisław August przerabiać na letnią rezydencję w stylu właściwym swojej epoce. W ten sposób powstały dzisiejsze Łazienki, w których najstarszą częścią jest rotunda z posągami królów, pozostała z dawnej ozdobnej łaźni ks. Stan. Lubomirskiego.

Przebudowa pierwotnej łaźni, która stała na planie zbliżonym do kwadratu, trwała zrazu pod kierunkiem architekta Fontany, potem Merliniego całemi latami (w ciągu 30 lat). Co rok dodawano nowe szczegóły, harmonizowano różne style (barok, rokoko, styl Ludwika XVI), aż wreszcie ogrodowy pawilon otrzymał wygląd pałacu o klasycznych kształtach.

Warto dodać za prelegentem, że Stanisław August wykończonych Łazienek już nie widział. Charakteryzując działalność królewską w dziedzinie sztuki, stwierdził prof. Tatarkiewicz, że z pięknem stanisławowskiem łączyło się zazwyczaj burzenie innego piękna z poprzednich epok.

Po odczycie prof. Tatarkiewicza, który wtajemniczał słuchaczy w piękno warszawskich zabytków architektonicznych, mówił w Tow. Mił. Historji świetny badacz naszych dziejów, historyk krakowski, prof. Wład. Konopczyński o „Warszawie w dobie konfederacji barskiej“. Doskonała prelekcja prof. Konopczyńskiego została obszernie omówiona w „Gazecie War.“ przez wybornego znawcę czasów saskich i stanisławowskich, K. M. Morawskiego, co nas zwalnia od streszczenia wywodów uczonego krakowskiego. Prof. Konopczyński niezbyt pochlebne świadectwo wystawił patrjotyzmowi Warszawy barskiej.

Ostatnio prof. Arnold przedstawił na posiedzeniu sekcji potrzeby historjografji naszej w zakresie badań nad dziejami Warszawy w epoce książąt mazowieckich. Z referatu prof. Arnolda widać dopiero, ile nauka polska ma jeszcze do zrobienia. Historja Warszawy, oparta na pewnych danych źródłowych, zaczyna się właściwie dopiero od XV w. Wczesne dzieje Warszawy są na dobrą sprawę dziejami bajecznemi. Relacje dotychczasowych badaczy Warszawy zawierają sporo legend, materjału faktycznego niewiele.

Brak przywileju lokacyjnego (niektórzy historycy twierdzą, że dokument z r. 1513 jest właściwym przywilejem lokacyjnym) sprawia, że można cofać początki miasta Warszawy mniej lub bardziej w głąb dziejów. Wzmianki źródłowe o Warszawie spotykamy coprawda już w XIV w. Na przełomie XI i XII w. był już na Wiśle w tem miejscu, gdzie dziś rozsiadła się Warszawa, przewóz i jakieś osiedle. Ale jakie—niewiadomo. Również nieustalono bezspornie genezy nazwy Warszawy. Najbardziej udokumentowany jest wywód od imienia Warsza-Rawicza (Rawicze zostali wypędzeni z Czech i osiedlili się w okolicy Rawy i Warszawy). Niewiadomo też skąd się wziął herb Warszawy.

Dyskusja, w której zabierali głos pp.: dyr. Siemieński, dr. Karwasińska, dr. Wolf i doc. dr. Borowski, dorzuciła niejeden ciekawy szczegół.

Czekamy na dalszy ciąg tak dobrze i z takim rozmachem rozpoczętej pracy Sekcji Historji Warszawy i Mazowsza.

TAD. B.

NAUKA i LITERATURA

„MARCHOŁT"

NOWY kwartalnik, poświęcony sprawom literatury i sztuki, redagowany przez prof. Stefana Kołaczkowskiego, nazwano „Marchołtem". Jakie związki łączą nowe pismo z tym Kasprowiczowskim symbolem? „Dajemy pismu nazwę" — głosi odezwa redakcyjna — „nie w formie abstrakcyjnego ogólnika, lecz osobową, akcentując w ten sposób przeświadczenie, że ideały prawdziwe są zawsze czemś żywem i osobowem. Mit pełniej i doskonalej wyrazi dążenia, niż formułka programu". „Marchołt" Kasprowicza" — mówi się tam dalej — „ze wszystkich mitów człowieka jest pod tym względem najbardziej ludzki i najdoskonalszy, że oba żywioły, ziemi i nieba, sprzągł w sobie w jednako potężnej mierze. Z ziemi rodem jest M a r c h o ł t, walczący o triumf ducha i wie, że tu na ziemi rękojmią dobra, obroną świętości musi być także i siła — dlatego tak gardzi chwiejnością".

Czyż zatem „Marchołt" ma wyobrażać pełnię człowieczeństwa? Pani Marja Kasprowiczowa, której „Marchołt" był przez wielkiego poetę dedykowany, sądzi — w ogłoszonym niedawno artykule, że Marchołt jest zwiastunem nowego człowieka, który chce się zmierzyć z własnym czynem, że jest to reformator, chcący nowego, lepszego świata, chcący rzeczywistości, nie jej pozorów. „Jest w nim" — pisze — „zwiastowanie i jasnowidzenie nowego, zbliżającego się życia, które ma powstać na gruzach „ginącego świata". Zaciekawieni wymową tego symbolu zaglądamy do tekstu poematu. Mówi tam Marchołt, zwracając się do obywateli: „Świat ten spuchnie, — gdy uwierzy w waszą kuchnię, — a uwierzyć ponoć gotów, — bo mu los dopieka srogo, — bo mu zbawców dzisiaj trzeba, — a zaś zbawcą jest mu ten, — kto go kłamem wprawia w sen"... (obraz trzeci: Marchołt — król). Przeznaczeniem Marchołta jest zatem budzenie ludzi, ukazywanie im rzeczywistości. Pogląd ten zdaje się podzielać prof. St. Kołaczkowski, gdy w komentarzu do XV tomu dzieł Kasprowicza (1931) mówi, że „humor misterjum („Marchołta") to nie maska tylko: konsekwencja artystyczna misterjum dowodzi, że humor był tam integralną cząstką p r a w d y w ż y c i u“.

Takie są tedy symbole nowego pisma, które przybrało sobie imię „Marchołta", legitymuje zaś swe racje bytu ideami Mickiewicza. „Marchołt" i Mickiewicz — spyta czytelnik — czy związki te nie są zbyt odległe? Otóż nie — odpowiemy słowami Kasprowicza (artykuł: „Przed pomnikiem Mickiewicza" w XIX tomie pism zbiorowych z r. 1931) — skoro „żyjemy pod znakiem Mickiewicza", skoro hasło „pragniemy żyć" rozpowszechnia się dzisiaj bardziej, niż kiedykolwiek, docierając do najdalszych, do najbardziej zapomnianych zakątków i z tych silnym odzywa się pogłosem".

Tak tedy jest „Marchołt" zjawiskiem w życiu kulturalnem doniosłem i zasługującem na szersze omówienie. Jaki reprezentuje sobą typ pisma, do jakich zmierza celów w ujęciu konkretnem? Otóż „Marchołt" nie przypomina ani swym układem, ani charakterem żadnego z dawnych, czy obecnie

wychodzących perjodyków polskich. Od „Chimery" i „Życia" różni się przedewszystkiem tem, że obce mu są spory i programy natury czysto estetycznej i odrzuca w sposób zdecydowany przebrzmiałe już dziś hasło „sztuka dla sztuki". Chce służyć życiu, słusznie mniemając, że żywe ideały i twórcze dążenia powstają z widzenia rzeczywistości i właściwego odczuwania wartości, chce poznawać świat wszelkich wartości i uczyć szacunku dla hierarchji idej; odrzuca jednostronny intelektualizm (w czasie, gdy ideałem naukowym stał się... genjusz bibljograficzny); na pierwszy plan wysuwa podstawowe zagadnienia kultury i filozofji wartości. Różni się też od takich „magazynów" literacko-naukowych, jak dawniej wychodzące: „Nowy Przegląd Literatury" i „Pamiętnik Warszawski", czy obecnie — „Przegląd Współczesny" i „Przegląd Powszechny". Zamieszcza tylko takie studja naukowe i literackie, które mają bezpośredni związek z aktualnemi — choć głębiej i podstawowo pojętemi — sprawami literatury i kultury. Do nich zaliczyć też przedewszystkiem wypada świetny artykuł prof. Stefana Kołaczkowskiego w sprawie reformy studjów polonistycznych. Dowodzi w nim autor, że dzięki imperjalizmowi językoznawców studja literackie pozostają obecnie w znacznej części pod ich dyktaturą, lekceważącą znaczenie innych nauk dla literatury (historja, psychologja, socjologja, etnologja i t. d.). Tymczasem — jak słusznie twierdzi prof. Kołaczkowski — donioślejsze znaczenie dla życia ma t r e ś ć literatury, więc cała suma wartości i prawd, podniet uczuciowych i wyobrażeń, niźli te wartości, jakie tkwią w odrębnościach składni, dźwięczności rymów i t. p. cechach formy językowej. Jeżeli to nie dla każdego jest oczywiste, to dzieje się to z tej przyczyny, że pod wpływem formalizmu i wskutek zatracenia poczucia hierachji wartości, cechującego nasze czasy, sprawy ducha utraciły należny im prymat. A właśnie o ten prymat duchowy, o treść i jakość naszej kultury i jej przyczynowy związek z życiem chce walczyć „Marchołt", jak to wynika także z ogólnego tonu pisma.

Wspomnieliśmy wyżej, że „Marchołt" równie silnie wiąże się z mitem, objawionym przez twórczość Kasprowicza — jak i ze światem wartości i idejami Mickiewicza. Świadczy o tem piękne studjum Artura Górskiego — „Człowiek z różdżką" — w którem autor charakteryzuje dzieło Mickiewiczowskiego żywota, nazywając je powtórną chrystjanizacją Polski, zagrożonej zewsząd rozbiciem i roztargnieniem. Niema gorszej niedoli, dotliwszego upokorzenia, jak przestać być sobą. Takie jest Mickiewiczowskie ostrzeżenie — raz jeszcze rzucone w komentarzu autora „Monsalwatu".

Być sobą — oto teza także drugiego głosu o Mickiewiczu, głosu Zofji Szmydtowej („osobowość Mickiewicza"). Mówi w nim autorka o sztandarze solidarności z życiem, o równowadze, godzącej ideał z rzeczywistością, ideał, dla którego nie wolno łamać i pustoszyć życia, o naturalnej harmonji, o syntezie, która uczy pojednania z rzeczywistością, gdy zarazem jest w niej walka o wyraz duchowy.

Wszystkie zatem omówione artykuły wzywają — jak to już czytelnik spostrzegł ze streszczenia ich tez — do walki o kulturę duchową, do ściślejszego związku z życiem i rzeczywistością psychiczną narodu, do rzeczywistości tej pogłębiania. Nie jest tedy „Marchołt" jakąś przygodną — jak wiele innych czasopism — skrzynką, do której wrzuca się uczone rozprawy, lecz pismem, które chce mieć ambicję organizowania pracy i wysiłków kulturalnych.

Jak sobie tę służbę „Marchołt" wyobraża — o tem pouczają nas inne, zamieszczone w nim artykuły, a między niemi pełen słusznych spostrzeżeń artykuł p. M. W. Jaskiego o trzech zagrażających nam pomnikach. T. B. S.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jako *opus* 13 B i b l j o t e k i M e d y c k i e j ukazała się „Teka graficzna" L e l i P a w l i k o w s k i e j, zawierająca 10 linorytów wielkiego formatu (63×48 cm.), ręcznie kolorowanych i złoconych. Jest to cykl prześlicznie pomyślanych i stylizowanych na prymityw obrazów Matki Boskiej. Rozpoczyna go postać Dzieciątka, dobywającego się z poduszek (Narodziny) — niespotykana dotąd koncepcja artystyczna.

Obrazy te nadają się znakomicie do oprawy na ścianę. Cena teki 100 zł. Odbito teki 60 egzemplarzy. Teka jest do nabycia u artystki w Medyce, we dworze pod Przemyślem. Tamże w Medyce poczta. Ani wątpię, że cały nakład rozchwytany będzie na podarki gwiazdkowe.

Ceny nakładów Bibljoteki Medyckiej, znajdujących się na składzie głównym w Domu Książki Polskiej, zostały obniżone niemal do połowy, oprócz „Arthura i Wandy" (2 tomy), gdzie cena pozostała ta sama (60 zł.). Prześlicznie kolorowo ilustrowana przez Lelą Pawlikowską, bajka „O braciach Mroźnych", poemat Beaty Obertyńskiej, kosztuje tylko 8 zł. Jako *opus* 12 ukazał się hymn Michała Pawlikowskiego „Wierzę w Boga Jedynego", o którym wspominamy z okazji umieszczonego poematu. Cena hymnu zł. 1.20.

ZE ŚWIATA SZTUKI

DZIEJE ŻYWOTA ARTYSTYCNEGO

W KWIETNIU b. r. zmarł jeden z najwybitniejszych artystów polskich z czasów ostatnich, Władysław Skoczylas. Obecnie otwarto w „IPS"-ie wystawę pośmiertną jego prac.

Artysta żył, pracował i tworzył wśród nas, był powszechnie znany i niezmiernie popularny, jego dzieła, zwłaszcza drzeworyty, utrwaliły się w pamięci najszerszych sfer społeczeństwa, więc zdawałoby się, iż taka wystawa, gromadząc plon życia, nie wzbogaci twórczości zmarłego żadnym nowym, nieznanym nam jeszcze szczegółem. Tembardziej, że znakomity grafik, w ostatnim roku swego życia, przypomniał się własną wystawą jubileuszową, uwzględniającą drzeworyty dawne, od roku 1913-go.

Jednak wystawa pośmiertna, wypełniająca wszystkie sale „IPS"-u, zgromadziła tak obfitą i różnorodną mnogość dzieł, wydobyła na jaw rozmaite szkice, rysunki i notatki, bogate plastyczne przyczynki do prac, rzeczy dawne i zapomiane, lub niepokazywane przez artystę za życia, że nawet jemu najbliżsi, uczniowie, teraz dopiero ujrzeli twórczość swego nauczyciela, oświetloną w pełni i jakże wymownie. Wystawa tak ważka, jak żadna inna, z niezwykłą wyrazistością odtwarza d z i e j e ż y w o t a a r t y s t y c z n e g o.

Etapy drogi, którą artysta podążał ku ostatecznemu opanowaniu własnej wizji artystycznej, zawiłości ścieżek twórczych, chwilowe oddalanie się od głównego szlaku, nawroty, utwierdzanie się w zdobytych już pozycjach — wszystko to rysuje wystawa w sposób niezmiernie ciekawy dla studjujących budowę indywidualności artystycznej, rozrastającej się od fundamentów cech przyrodzonych wzwyż. Pokaz ten nie jest popisem plastyka, w tem znaczeniu, w jakiem zwykli traktować swe wystawy artyści żyjący. W takich wypadkach pokazuje się prace, uznane za najlepsze; jest to wolne prawo artysty, który, oczywiście, chce się zaprezentować z najlepszej strony. Ale jeśli w jego poczynaniach były i próby, o rezultatach nie tak pomyślnych, tem nie mniej rzucających ciekawe światło na jego twórczość, czasem może i szkoda, gdy nieujawnione, zubożają wyrazistość sylwetki plastyka.

Otóż wystawa pośmiertna Skoczylasa najsłuszniej została zorganizowana na innych podstawach. Zmarły uczynił tak wielki wkład, zwłaszcza do naszej grafiki, że wykrycie na monumencie

dzieła artysty jakichś, pojedyńczych, skaz lub rys, w niczem istoty rzeczy nie zmienia. Natomiast, dzięki pokazaniu wszystkiego (tu jakieś *jury* wogóle nie ma sensu) mamy możność obserwowania pracy artysty we wszystkich okresach jego plastycznych zainteresowań. Poznajemy Skoczylasa, odtwarzamy sobie wierniej jego wizerunek, nietylko oglądając najświetniejsze osiągnięcia, lecz również wnikając w przyczyny mniej pomyślnych wyników niektórych innych zadań. Śledzimy z nieustającem zainteresowaniem kolejne etapy twórczości grafika, widzimy, jakich środków próbował, czego się imał, by wkońcu wynaleźć język plastyczny, który wyraził go najpełniej i najistotniej. Widzimy jego rozrost jako artysty: jak sam z początku ulegał upodobaniom epoki, by wkońcu zapoczątkować nową epokę współczesnego polskiego drzeworytu.

Taki materjał daje wystawa i dlatego należy do najużyteczniejszych, gdyż przyczynia się do ogarnięcia rozumem i sercem żywota talentu, który powszechnie uważany jest za najwybitniejszego, w naszej plastyce lat ostatnich, wyraziciela polskości.

W rozumieniu ważności wystawy i katalog jej wyrasta ponad miarę zwykłych wystawowych katalogów. Opracowany przez Tadeusza Cieślewskiego syna, jest jakby małą podręczną encyklopedją wiedzy o Skoczylasie. Zawiera: dane biograficzne, materjały bibljograficzne, spis wystaw, w których artysta brał udział, spis otrzymanych odznaczeń, nagród i orderów, katalog prac Skoczylasa, wystawionych i niewystawionych, informacje o grafice użytkowej artysty, wykaz książek, ilustrowanych przez Skoczylasa, spis zachowanych klocków drzeworytniczych, spis zachowanych płyt metalowych i reprodukcje. Katalog, tłoczony czcionką polską A. Półtawskiego, został odbity starannie. Jego jedyną wadą jest szereg niedbale wykonanych (a czasem także i odbitych) reprodukcyj.

Tyle, tymczasem, informacyj o wystawie i jej katalogu, zanim przystąpię do skreślenia (obszerniejszego) sylwetki artysty.

WIKTOR PODOSKI

MUZYKA

KONSERWATORJUM.—France Ellegaard jest zjawiskiem niecodziennem. Nic w niej niema z typu młodych wirtuozów, objeżdżających świat z nieodłącznym bagażem swojej szkoły, którą reprezentują przedewszystkiem, wywołując dyskusję nad metodą nauczania, czy ustosunkowaniem jej się do zagadnień interpretacji. Nic w niej również niema i z tego typu, który z małą dozą szacunku, ale zato dużą pewnością siebie nagina inwencję granych kompozytorów do swojej własnej koncepcji. France Ellegaard jest wprawdzie sobą, ale jej sztuka odtwórcza tchnie bezpretensjonalną szczerością, jakiemś przedziwnie wnikliwem wyczuciem, subletnością prawdziwie kobiecą. Mimo młodego wieku jest już siłą zdecydowanie dojrzałą. W sposób doskonały łączy w sobie bujny temperament z powagą, jaką traktuje swoje zadanie.

Technika oczywiście bez zarzutu. Pokonuje największe trudności bez śladu jakiegoś wysiłku. Skala frazowania bogata niezwykle; w granicach od mocnego *fortissimo* do najcichszego *pianissimo* mieści się całe mnóstwo rozmaitych odcieni, nie dających się zmierzyć ani określić żadnym terminem muzycznym.

Artystka w przeciągu swoich trzech recitalów (ostatni we wtorek, 11-go grudnia), grała Bacha, Rameau, Daquin,a, Scarlatti'ego, Mozarta, Schumanna, Chopina, Brahmsa, Liszta, Saint-Saënsa, Griega, Débussy'ego, Ravela i Strawińskiego. Celowo wymieniam wszystkie nazwiska, ażeby dać pojęcie o możliwościach młodej pianistki. Jak różny jest np. taniec z „Pietruszki" Strawińskiego od takiej „*Le coucou*" Daquin'a, sonat Scarlatti'ego, albo chopinowskiego walca! A jednak nikt z nich nie miał skłamanego oblicza. Osiągnąć to tylko można dzięki ogromnemu talentowi, który nawiązuje kontakty, otwierając drogę do każdej indywidualności twórczej, bez względu na to, czy był nią Bach, czy Débussy.

France Ellegaard swemi koncertami dała wyczerpującą odpowiedź na jedną z bezustannie rozważanych kwestyj— ustosunkowania się wykonawcy do zadania, jakie ma przed sobą. Jeszcze raz dobitnie wykazała, że roztrzyga kultura, talent i oczywiście — umiejętność.

*

Sto trzydziesta audycja Stowarzyszenia Miłośników Dawnej Muzyki odbyła się pod znakiem szkoły mannheimskiej, z wyjątkiem oczywiście suity Jerzego Filipa Telemanna.

Może podciąganie do niej i Dankowskiego będzie nieco za śmiałe, trudno bowiem na podstawie jednego tylko utworu wydawać sąd, zwłaszcza, że o innych niewiele się wie ponadto, że podobno w początkach XIX-go wieku śpiewane były podczas nabożeństw w naszych kościołach, ale czy rodowód tego stylu, jaki nam pokazała odegrana w poniedziałek symfonja *d*, nie jest wspólny z pokazanym również czwartym koncertem klawesynowym *b* Jana Christjana Bacha?

Wygrzebanie nieznanego dotychczas nazwiska Alberta czy Adalberta Dankowskiego jest zasługą H. Opieńskiego. Dankowski, altowiolista opery lwowskiej z końca wieku XVIII-go, „...jakkolwiek nie *lumen mundi*, w rzędzie kompozytorów zasługiwał jednak na umieszczenie go w pismach muzycznych, pewnie więcej od innych, którzy podobnego zaszczytu nie dostąpili", jak słusznie zauważa Elsner w liście do lipskich Breitkopfa i Härtela.

Niestety, mimo takich nawet podkreśleń, imię ciekawego kompozytora nie weszło do indeksu twórców, a jego dzieła pokrywały się z roku na rok coraz to grubszą warstwą pyłu archiwalnego na półkach obrzańskiego klasztoru, mało również zresztą znanego ośrodka kultury muzycznej dawnej Polski (do którego mi jeszcze nieraz przyjdzie powrócić), by potem, po kasacie zakonu przejść do zbiorów Archidjecezji Poznańskiej. Przez pewien czas imię artysty żyło podobno w tradycji, a msze jego były śpiewane po naszych kościołach; zastąpiono i je z czasem rozmaitemi Hessami, Molitorami, Zanglami czy inną, obcą lichotą.

Trudno jest w tej chwili szerzej rozwodzić się nad postacią artysty. Ciekawych odsyłam do jedynego o nim obszerniejszego szkicu w zeszycie 16-tym „Kwartalnika Muzycznego", co i mnie służył za podstawę informacyj, któremi się dzielę. Warto przytem zaznaczyć, że prace naszej muzykologji, ukazujące w należytem świetle przeszłość muzyczną Polski, są w swoich skutkach doniosłe. Prostując bowiem powszechne, a fałszywe i jakże krzywdzące sądy o naszym dorobku kulturalnym, otwierają każdem opracowaniem nieznanego dzieła coraz szerzej oczy ogółu, zmieniając tem samem poprostu jego psychikę. Stanowi to ich rzetelną zasługę.

Program audycji zawierał jeszcze oprócz wspomnianej już suity Telemanna, najtypowszego bodaj oprócz Friedemanna Bacha przedstawiciela wpływów „polskiego gustu" w Niemczech, oraz koncertu Jana Christjana Bacha, koncert wiolonczelowy *b* Boccheriniego.

Wykonawcami byli: orkiestra kameralna pod dyrekcją Faustyna Kulczyckiego, Zofja Adamska i Janina Wysocka-Ochlewska.

W. NARUSZ

OFENSYWA

NAJWIĘKSZE NIEBEZPIECZEŃSTWO

STATYSTYK (węgierski) dr. Elekes obliczył, że za lat sto Polska, idąc po obecnej linji populacyjnej, będzie liczyła 195 miljonów.

Niemcy 161 m., Italja 100, Jugosławia 68, Rumunja 54, Czechosłowacja 34, Węgry tylko 20 miljonów.

Rozrodczość „najmłodszych Arjów" jest tedy nadal naszym największym atutem, który raz po razu wyciągają nasi przyjaciele w świecie w mowach parlamentarnych, w artykułach wstępnych, w polemikach z wrogami nas bagatelizującymi. Niedawno publicysta francuski Dariac, walcząc z nowymi rusofilami i broniąc zacięcie Polski, nie entuzjazmującej się do paktu wschodniego, pisał:

„Nie zapominajmy, że ludność Polski wynosi $^3/_4$ naszej ludności i że Niemcy, świadomi dynamiki ich wschodniego sąsiada, powtarzają zawsze, wzdychając, że każda noc, która mija, jest zwycięstwem dla Polski"... „W istocie Polska dogoni Francję pod względem ilości ludności w przeciągu lat dwudziestu". „Nadwyżka urodzeń w Polsce w r. 1933, 402,000 wobec 21.000 we Francji".

W ostatnich dwu latach i to się zaczyna psuć pod rządami sanacyjnej *conquest*. Podczas gdy przyrost ludności w r. 1930 wynosił 526.000, a w r. 1932 jeszcze 445.000, to w roku 1933 spadł do 402.000, zaczem o 124.000.

S t o d w a d z i e ś c i a c z t e r y t y s i ą c e!

Solidnej, uczciwej, chrześcijańskiej, społecznej, narodowej i patrjotycznej prasie przypadło w udziale i w obowiązku zwykłe alarmowanie o tem niezwykłem niebezpieczeństwie. „Polska Zbrojna" właściwie powinna o tem dawać co dzień artykuł wstępny i rozpisać ankietę. Panowie kierujący z „Gazety Polskiej", zamiast zgrywać się jako koneserzy piękna w Europie i mecenasi dorastających Rusinków i Marcinków, powinni w ten dzwon uderzać raz na tydzień, ale mocno.

Narazie twardo głos zabrała, konfiskatami katowana, katolicka „Polonia", pisząc w związku z temi, nie już niepokojącemi, ale przerażającemi cyframi (526 — 402):

„Od trzech lat zmniejsza się ustawicznie przyrost naturalny, a różnica między 1930 a 1933 wynosi 124.000. Jeżeliby spadek ten w dalszym ciągu odbywał się z tą samą szybkością, to za dziesięć lat staniemy w Polsce wobec zagadnienia wyludnienia, które może wyglądać bez porównania gorzej, niż we Francji. Codzienne troski i kłopoty powodują, że nad liczbami, które mają bezwzględnie groźną wymowę — przechodzimy do porządku dziennego; niemniej jednak ta sprawa powinna wywołać dyskusję w Polsce".

Już wywołała.

Mamy do zanotowania dwa świeże głosy, jeden skrajnie lewicowy, sanacyjny, z dziennika wyraźnie ateistycznego i antykatolickiego, drugi z dziennika chrześcijańskiego, katolickiego — opozycyjnego.

„Kurjer Wileński" piórem p. H. Romerowej pisze w artykule p. t. „Pchają do zbrodni":

„Pchają do zbrodni, a potem sami rozdzierają szaty! Trudno o większą obłudę... Jako wydawcy „Tajnego Detektywa", pisma rozkupywanego przez młodzież, boleją nad tem, że się młodzież demoralizuje. Wszak na własne oczy widziałam i nie trudno to sprawdzić, fotografje w tymże „Detektywie" parki uczniowskiej, dziewczynki i chłopca w uczniowskich czapkach z „Detektywem" w ręku i podpisem: „Nasi najmłodsi czytelnicy" w Dziśnie czy Prozorokach. Mam pod ręką kilka wycinków z pism (nr. 285 „Kurjera" i in.) o 17-letnim uczniu, który zadusił ciotkę, by mieć pieniądze na kształcenie się na filmowca, a uplanował zbrodnię wedle widzianych scenarjuszy zapewne, inny przyznał się, że w „Tajnym Detektywie" wyczytał o sposobach szantażowania i zastosował to w swem otoczeniu. Szajki złodziejskie, morderstwa z zazdrości i miłości, których bohaterami są chłopcy i dziewczęta od lat kilkunastu, to owoc takiej lektury, takich widowisk. Wartoby zrobić wywiad w zakładach poprawczych, albo na sprawach sądowych, jaki procent niedorosłych przestępców czyta „Detektywa"? Sądzę, że byłby bardzo duży: Chłopcy składają się po 10-ce, by ten podręcznik zbrodniczości kupować, pożyczają sobie całe roczniki, karmią się tem, to jest tematem ich rozmów, zabaw, atmosferą, którą oddychają. Wydawać takie pisma i dziwić się, że odnoszą skutek... to jakaś makabryczną naiwność, czy cynizm".

„Głos Narodu" z Krakowa, powołując się na inicjatywę bojkotu, wyszłą z „Polski Zbrojnej" i „Związków Nauczycielskich" oraz memorjału, podpisanego przez wszystkich księży dziekanatu Mieleckiego (Małopolska), pisze o bojkocie zbrodniczej prasy:

„Zasługuje on na to za ciągłe sączenie w duszę czytelników zabójczego jadu brudu i przewrotności przez wyrafinowane opisy ohydnych zbrodni i pikantnych plugastw wszelkiego rodzaju. Zasługuje na to za bezprzykładne stanowisko w sprawie „wikarówki". Zasługuje i za to, że jego redaktorzy, jako główni pionierzy boyowo-żydowskiego „świadomego macierzyństwa", nazywają przyrost ludności n a j w i ę k s z e m n i e b e z p i e c z e ń s t w e m dla Polski, a zachęcając przez to do ograniczania urodzin, podkopują nie tylko prawo Boże, ale i podwaliny Państwa Polskiego. Zasługuje wreszcie na to za całą działalność „Pałacu Prasy", a zwłaszcza swoich pełnych najpodlejszego gatunku senzacyj współbraci, „Tempa dnia" i „Tajnego Detektywa", która powoli, ale ustawicznie zatruwa dusze ludzkie, ucząc zwłaszcza młodzież wszelakich występków i zbrodni".

„Największe niebezpieczeństwo" jest to tytuł dwukolumnowego, wstępnego, niedzielnego artykułu w „Codziennej Kur. Il.", występującego przeciw przeludnieniem Polski, przeciw nadmiernej rozrodczości, za regulacją urodzin, za „*abortem*", za uświadomieniem o „reformie" seksualnej włościaństwa, za „rozumną polityką ludnościową". Artykuł kulminuje w zdaniu:

„Ż a d n a r e f o r m a r o l n a, ż a d n e o b d z i e l a n i e c h ł o p ó w g r u n t a m i n i e p o m o ż e, j e ż e l i n a w s i r o z r o d c z o ś ć s i ę n i e z m n i e j s z y".

W Italji odbył się niedawno Kongres Gynekologów, obradujących nad wzrastającą bezpłodnością „białych" w Europie. W Italji rząd za każde d z i e c k o p o n a d c z t e r y wypłaca rodzinie 3.000 lirów premji, równocześnie nałożywszy wysokie podatki na starych kawalerów i zwalniając starych kawalerów masowo ze służby państwowej. W Polsce, leżącej między 160.000.000 bolszewików, a 65 miljonami hitlerowców (120 miljonami rasy germańskiej) *pro*-rządowy, sanacyjny brukowiec jako „najważniejsze niebezpieczeństwo" uważa nadmierną rozrodczość.

Łyk krakowski, kołtun, Dulski, Żołądź (z powieści Dobaczewskiej) przestraszył się rewolucji nadchodzącej. I że mu odbiorą pensję i posadę. I wszystkim Żołędziom i Rusiukom z Galicji. Więc wypisał poważny artykuł o prezerwatywie antyrewolucyjnej: chamstwo nie może emigrować, zostaje, mnoży się, wpada w nędzę, gotowe się buntować przeciw sanacyjnej *conquest*. *Ergo* nauczyć chamów i proletów środków zapobiegawczych. Zamiast przelicznych pociech „dożyć tej pociechy, żeby i Krzywickie zbłądziły pod strzechy". „Największem niebezpieczeństwem" Polski nazwał krakowski „Kur. Codzienny" nie już te 526 tysięcy przyrostu z r. 1930, nie 445 z roku 1932, ale nawet te 402 tysiące z roku 1933.

Organ posła Marjana Dąbrowskiego z Krakowa nadal jest organem faworyzowanym przez małopolskie skrzydło elity sanacyjnej.

Publicysta, który z tem „największem niebezpieczeństwem" od dziesięciu lat walczy, skazywany bywa raz po raz, to na sześć, to na trzy miesiące więzienia, ale amnestjonowany.

Ostatniej amnestji atoli się zrzeka i prosi niniejszem o uwięzienie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wielką sensację wywołała w kołach politycznych pogłoska, że Elita, wykrzyżowana dla celów reformy, która miała jej oddać kierowniczą w kraju rolę, -- zawiedziona teraz w nadziejach, zamierza wytoczyć proces inicjatorom imprezy, pp. Sławkowi i Carowi. Pretensjami swemi Elita obejmuje całokształt poniesionych strat w postaci: 1) utraconych korzyści, 2) ekspensu energji intelektualnej, wydatkowanej na studjum polityczne. Pretensje tedy sięgają zawrotnych sum, co jest zrozumiałe, jeśli zważymy, co wynoszą same „utracone korzyści". To też suma procesu dorównywa podobno niemal tej cyfrze, w której statystyka wyraża wysokość całego majątku narodowego Polski. Prawdopodobnie dojdzie do kompromisu. Pan Car przygotowuje już odpowiednie tezy.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM